CZWARTEK

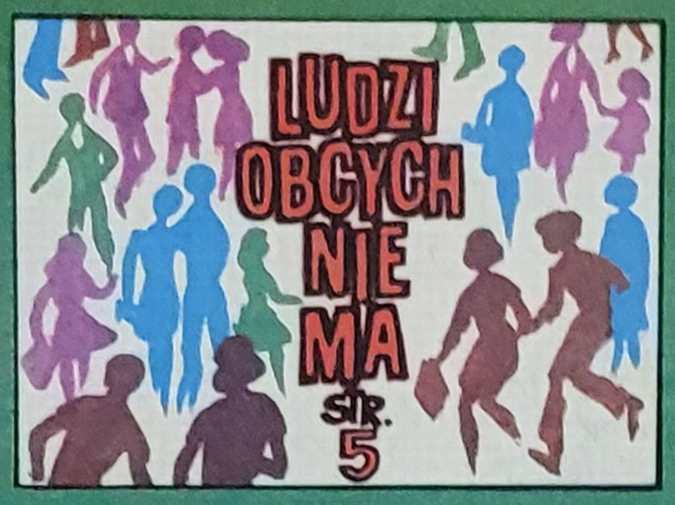

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 50 27 KWIETNIA 1978 R CENA 1,50 ZŁ

Co słychać u przyjaciół?

NIE TYLKO DLA SIEBIE

TBILISI (ZSRR). Od dłuższego już czasu pionierzy ze Szkoły Podstawowej nr 101 współpracują z miejscowym Zakładem Materiałów Budowlanych, z oddziałem ceramiki. W każdy piątek po skończonych lekcjach, kilkuosobowe zastępy zjawiają się w hali produkcyjnej i wkładają granatowe, ochronne fartuchy. Tutaj też otrzymują dyspozycje od kierownika hali. Polecenia rozdziela „szef" grupy, wybrany spośród uczniów. Prace, które wykonują pionierzy są bardzo różnorodne. Przygotowują oni naczynia do wysuszenia i wypalania w piecach, malują je, polerują. Ze współpracy tej cieszą się zarówno dorośli pracownicy zakładów jak i uczniowie tbiliskiej szkoły. **(ach)**

Bezcenne skrzypce złodziejskim łupem

WŁOCHY (PAP). Z muzeum weneckiego konserwatorium im. Benedetto Marcello skradziono 6 starych skrzypiec, w tym jedne wykonane przez słynnego lutnika włoskiego, Stradivariusa. Jest on twórcą ponad 1100 mistrzowskich skrzypiec, wiolonczel, altówek; m.in. dostarczył 12 skrzypiec na dwór króla Augusta II.

Skrzypce Stradivariusa mają dziś ogromną wartość, na którą złożyły się: dobór drewna, lakieru, niezwykła precyzja wykonania, piękny i silny ton. Tylko nieliczni wybitni muzycy dostąpili zaszczytu grania na bezcennym, oryginalnym instrumencie.

(kl)

UCZNIOWIE PRODUCENCI

CIECHANÓW (HSI). Warsztaty mechaniczne Zespołu Szkół Zawodowych nr 1 im. generała Józefa Bema w Ciechanowie są placówką dydaktyczną – odbywają tam praktyki uczniowie szkoły – i jednocześnie zakładem produkcyjnym. Łączna wartość ubiegłorocznej produkcji wyniosła 8,2 mln złotych. Uczniowie wyrabiają zarówno produkty gotowe (imadła, kliny pod koła, zwijaki do drutu, kompletne transformatory), jak i półprodukty (śruby, sworznie, wózki wędzarnicze, żaluzjowe przesłony chłodnic itp). Wyroby te są dobrej jakości, co jest także zasługą kierownika warsztatów, p. Waldemara Tomkowskiego i instruktorów: Wacława Długołęckiego i Henryka Mazurkiewicza.(aug)

KIERUNEK BUDOWA

Uwaga drużyny, szczepy harcerskie i samorządy szkolne!

Zakończenie konkursu

„KIERUNEK-BUDOWA"

Wszystkim, którzy zgłosili swój udział w konkursie „KIERUNEK-BUDOWA" przypominamy, że mija termin nadsyłania meldunków końcowych. Dziś ostatnia szansa! Jeśli więc jeszcze nie pochwaliliście się Waszymi działaniami – napiszcie do nas list i dziś wrzućcie go do skrzynki. **Nagrody zostaną rozdzielone tylko między tych, którzy przyślą meldunki końcowe.** Komunikat o werdykcie jury zamieścimy w połowie maja. Przedstawiciele zwycięskich zespołów zostaną zaproszeni na Święto Książki, Prasy Młodzieżowej i Sportowej, które odbędzie się w Tarnobrzegu.

MINIKARY NA START!

Przed krajowym i międzynarodowym sezonem

Nasi minikarowcy nie mogą chyba narzekać na brak emocji. Każdego roku startują nie tylko w imprezach lokalnych, ale również w zawodach ogólnopolskich, a nawet międzynarodowych. W bieżącym sezonie będzie podobnie. Wprawdzie nie znamy jeszcze miejsca ani terminu najbliższych, siódmych z kolei mistrzostw kraju (prawdopodobnie odbędą się one we wrześniu), jednak sądzimy, że amatorzy tej ciekawej dyscypliny już przygotowują się do tegorocznych startów.

Ciekawi jesteśmy co słychać u naszych minikarowców. Może konstruują nowe pojazdy, może modernizują stare? Jak i gdzie trenują? Interesuje nas także co robią obecnie mistrzowie kraju z lat ubiegłych: **Grzegorz Jurczyk** z Pszczyny, **Remigiusz Dziewulski** i **Andrzej Rębacz** – obaj z Warszawy, **Katarzyna** i **Tomasz Jankowscy** z Gdańska? Jak pracują doskonali minikarowcy Starachowic, Zamościa, Raciborza...? Czekamy na Wasze listy i życzymy udanych treningów.

Na zdjęciu zawodnicy Harcerskiego Młodzieżowego Domu Kultury w Starachowicach, którzy reprezentowali polskich kierowców na ubiegłorocznych wyścigach w Czechosłowacji.

(zp)

Fot. **Zb. Lewiński**

WIOSENNE PIĄTKI

W czasie gdy piątki – te szkolne – zaczynają być w coraz większej cenie w związku z nadchodzącym końcem roku szkolnego, w parkach i ogródkach kwitnie „piątka wiosenna". Tak ogrodnicy nazywają pięć bylin, czyli wieloletnich roślin rabatowych. Są to: fioletowa **obriecja** – u dołu zdjęcia, żółta **smagliczka** – tuż za tulipanami, różowy, biały lub czerwony **płomyk,** biała lub różowa **gęsiówka** oraz biały **ubiorek.**

Fot. **J. Dąbrowski**

Warto o tym wiedzieć

EFEKTY 33 LAT WSPÓŁPRACY

Tradycyjnie w kwietniu obchodzimy uroczyście ważną dla naszego kraju rocznicę podpisania w 1945 roku polsko-radzieckiego Układu o Przyjaźni, Współpracy i Pomocy Wzajemnej. Akt ten od samego początku miał decydujące znaczenie dla powojennej odbudowy i wydźwignięcia gospodarki z zacofania na jej obecny poziom techniczny. Patrząc z perspektywy 33 lat współpracy Polski i ZSRR, dokonaliśmy wspólnie rzeczy imponujących. Wystarczy powiedzieć, że w Polsce działa obecnie około 100 wielkich przedsiębiorstw, zbudowanych przy pomocy Związku Radzieckiego i wyposażonych w radzieckie urządzenia. Z pomocą ZSRR gruntownie zmodernizowano ponad 200 innych ważnych dla naszej gospodarki fabryk i zakładów. Wszystkie te obiekty dają łącznie około 30 proc. produkcji przemysłowej Polski. Nie ma właściwie żadnej gałęzi naszej gospodarki, która nie korzystałaby z radzieckich dostaw.

Związek Radziecki jest również głównym naszym dostawcą surowców, bez których nie moglibyśmy się dynamicznie rozwijać. M. in. z ZSRR importujemy 77 proc. ropy naftowej, 73 proc. rud żelaza, 63 proc. bawełny, 83 proc. celulozy.

O ile w pierwszych latach powojennych byliśmy dla Związku Radzieckiego przede wszystkim odbiorcami technologii i urządzeń technicznych, to mniej więcej od 20 lat staliśmy się poważnym eksporterem własnej myśli technicznej i dóbr inwestycyjnych. W wielu dziedzinach osiągnęliśmy poziom światowy. Naszymi specjalnościami eksportowymi są m. in. gotowe fabryki kwasu siarkowego, betonów lekkich, płyt wiórowych, cukrowni. Wysoki poziom reprezentują również nasze statki i maszyny budowlane. Na radzieckim rynku wysoko cenione są nasze wyroby codziennego użytku, tkaniny i odzież, maszyny do szycia, artykuły sportowe itp. itd.

Jeszcze większe znaczenie dla gospodarek obydwu naszych krajów – chociaż może nie dostrzeganych przez przeciętnego konsumenta w ZSRR i w Polsce – ma wzajemna kooperacja i specjalizacja w wybranych dziedzinach produkcji. Dla przykładu: w wytwarzaniu sprzęgieł elektromagnetycznych dla obrabiarek, dzięki specjalizacji staliśmy się drugim na świecie producentem, a jednym z największych w Europie wytwórców samochodowych układów hamulcowych. Kooperujemy także w przemyśle lotniczym m. in. przy produkcji kolosa, tzw. aerobusu, który będzie zabierał jednorazowo 350 pasażerów.

Dalszemu rozwijaniu wszechstronnej współpracy polsko-radzieckiej służyła wizyta I sekretarza naszej partii, Edwarda Gierka, złożona w Moskwie, w przeddzień 33 rocznicy podpisania historycznego Układu.

(b)

Sztuka XX wieku (2)

BY UŻYTECZNE NIE BYŁO SAMO

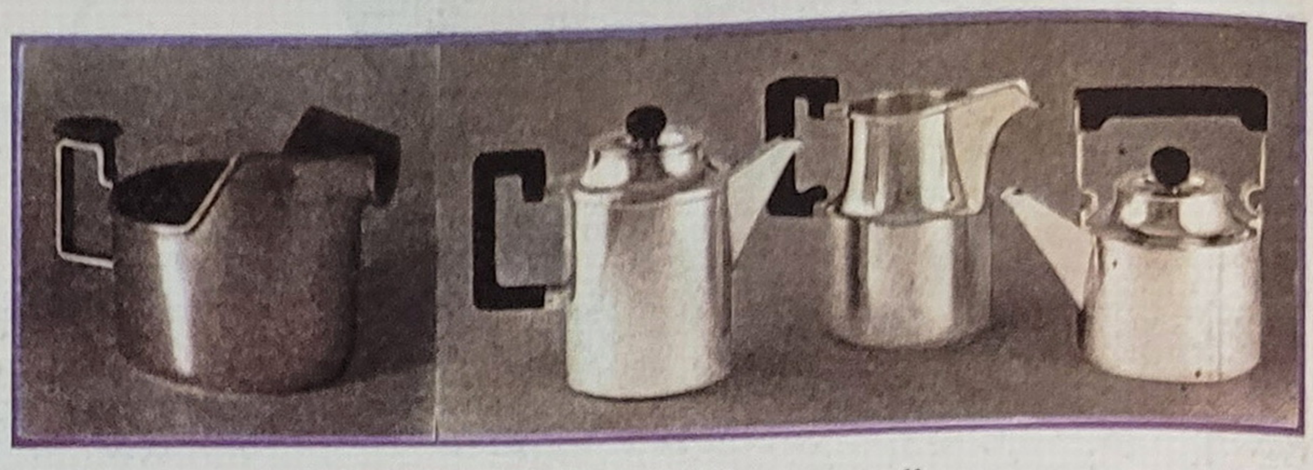

Plastycy coraz częściej decydują o kształcie otaczających nas przedmiotów

Dopominałem się o to, by użytecznemu towarzyszyło na co dzień piękno, aby sztuka nie była kwiatkiem przypinanym do zaświnionego waciaka. Lecz sytuacji nie zmienią sami artyści. O wyglądzie tego, co nas otacza decyduje dzisiaj także przemysł. Ostatnio w wielu jego dziedzinach osiągnęliśmy już taki poziom rozwoju, że zaczęliśmy przywiązywać większą wagę do jakości fabrycznych wyrobów – i to nie jedynie technicznej czy użytkowej, ale i estetycznej! Bo już nie tylko wybierając krawat lub ozdobę na ścianę umiemy kręcić nosem – nie kupujemy również brzydkich butów, choćby były z najlepszej skóry, nie nabywamy szpetnego radia, mimo iż świetnie odbiera wszystkie programy. Wprawdzie wielu dyrektorów odpowiada jeszcze na pytanie o urodę produkowanych u nich kaloszy czy kloszy „– panie, ja i tak wszystko sprzedam, bo brak tego na rynku!" – ale od urody tej właśnie zaczyna zależeć sukces ekonomiczny.

Już więc nie dla idei, lecz we własnym interesie przemysł musi się liczyć z naszymi gustami. I docenia wreszcie plastyków.

Przyszła koza do woza!

– mówią ci ostatni i... traktują często tę dojną wszak kozę jak piąte koło u swego wozu. Każą czekać na projekty w długiej kolejce, nie dają się skusić czekającym na nich posadom w fabrykach. Przerażająca większość woli uprawiać „sztukę czystą" lub samodzielnie wytwarzać ozdobne przedmioty dla „Desy". Nawet absolwenci Wydziałów Architektury Wnętrz i Projektowania Form Przemysłowych ASP nie podejmują pracy zgodnej z wykształceniem. Dlaczego? Powodów jest wiele...

Przemysł wymaga choćby od plastyka, by świetnie znał jego możliwości, projekty muszą uwzględniać koszty i technologię produkcji. Nie można np. malować wzorów farbami plakatowymi oczekując, iż gotowy wyrób będzie miał identyczny kolor. Trzeba znać używane w fabryce barwniki czy lakiery. I tu nie wystarczy już dyplom ASP, konieczna jest specjalizacja. Zabiega się więc o zatrudnianie plastyków w zakładach na stałe. Tymczasem ci pracujący już w myśl odgórnych przepisów „na etacie" wykorzystywani są nierzadko do robienia gazetek ściennych i dekoracji z okazji rocznic i świąt państwowych – a projektowanie zleca się „dla oszczędności" byle komu. Często też zakład kupuje „na wzór" produkt zagraniczny – co powoduje nienadążanie za modą i potrzebami rynku...

Nie bardzo również wiadomo ile i za co plastykom płacić. Czy za godziny spędzone w fabryce, czy za projekty? I czy tylko za te zrealizowane – czy za dobre? Bo to nie zawsze są te same. I to jest chyba najbardziej bolesna sprawa. Nie artyści bowiem decydują o tym, jak będzie ostatecznie wyglądało to, co pojawi się w sklepach i na ulicach. Tu liczy się bardziej głos techników, ekonomistów, handlowców. A ci – nawet jeśli zdołali wykształcić swój gust, w czym rzadko im ktoś pomaga – to na pewno nie kierują się nim zatwierdzając projekty. Nie rozliczają się przecież z trudnej do zmierzenia estetyki wyrobów, lecz z ich ilości, wielkości, ceny. Nic więc dziwnego, że „ulepszają" dowolnie projekty, że z kilku różnych (nie zawsze nawet tego samego autora) potrafią „skombinować" jeden. Że wypaczają sens pracy plastyka domagając się, aby ozdobił szlaczkiem i ładniej opakował lichy wyrób, co pozwoli go drożej sprzedać. Wzornictwo przemysłowe pojmowane jest bowiem często nie jako tworzenie użyteczniejszych i doskonalszch form, ale jako opłacalne ozdabianie, psu na budę zdatnej, tandety, której prawdziwą wartość artysta ma ukryć. Ujawnia się to i w ciągłej pogoni za nowościami, w której dobre wzory wypierane są przez gorsze, lecz nowsze. Obowiązująca „cena nowości" prowadzi tak do „nowości za wszelką cenę"...

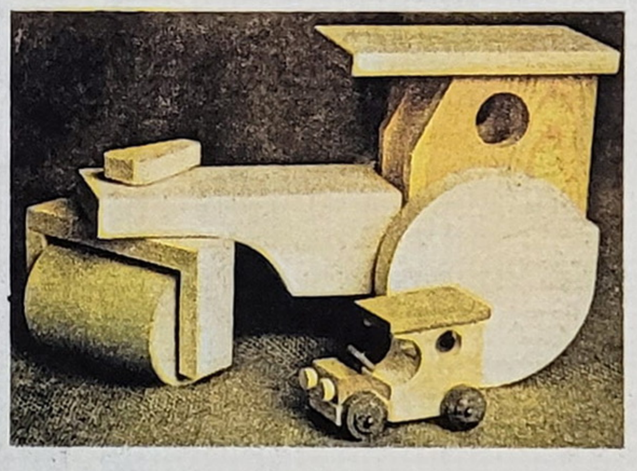

Od ergonomii do wygodnych butów

Urządzane więc masowo plenery w fabrykach nie wystarczą, aby zachęcić plastyków do współpracy z przemysłem. Współpracy mądrze zorganizowanej, kiedy jedni się uczą od drugich, a ekonomistę interesują nie tylko zyski zakładu, ale i ekonomia użytkowania jego produktów. Bo poznawania gustów i potrzeb konsumentów nie można też spychać wyłącznie na barki artysty – projektanta i inżyniera – konstruktora. Pomóc im powinien również zakładowy psycholog i socjolog, których zwykle zajmują głównie miejscowe stosunki międzyludzkie.

I one oczywiście są ważne. Podobnie jak estetyka i urządzenie fabrycznej hali wpływają bowiem na kształt wyrobów. Rzecz w tym więc, by ludzką miarę przykładać zarówno do procesu produkcji, jak jego efektów. I nie idzie tu o to, by „wilk był syty i owca cała", lecz o zniesienie podziału na wilki i owce tam, gdzie ludzie pracują dla ludzi.

Zabiega o to od lat Instytut Wzornictwa Przemysłowego i rozwijana w nim nowa nauka, zwana ergonomią, a badająca właśnie warunki pracy i to, co w jej wyniku powstaje. Nauka, która dostarcza artystom i inżynierom teoretycznych danych pozwalających projektować i dźwigi i filiżanki dostosowane do naszych wymiarów, wymagań i możliwości. Ale, żeby buty były ładne i nie uwierały, a obsługiwanie frezarki nie było męką – nie starczy najlepsza teoria.

Ujawnił to raport o stanie naszego wzornictwa, opracowany przez powołaną ponownie do życia Radę Wzornictwa Przemysłowego. Potworzono więc zespoły konsultacyjne w resortach ułatwiające kooperację – konieczną choćby w sprawie z pozoru tak prostej, a wymagającej współdziałania wielu gałęzi przemysłu, jak urządzenie kuchni. Jej architektura narzuca przecież kształt i rozmiary ustawianych w niej mebli, kuchenek i lodówek; zlewozmywak pasować musi do wycięcia w blacie szafki, która z kolei nie może być wyższa od stołu. Wszystko też – od wykładziny ściennej i podłogowej, poprzez oświetlenie, krany i meble do suszarek i wieszaczków – powinno mieć jednolity plastyczny wyraz.

Rada Wzornictwa Przemysłowego wspólnie z Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz stowarzyszeniami plastyków przygotowała też wydaną rok temu przez Radę Ministrów uchwałę o rozwoju naszego wzornictwa, która tworzy podstawy prawne zawodu projektanta form przemysłowych. Obok zatwierdzonego w listopadzie nowego cennika prac plastycznych przyczyni się ona do znacznej poprawy w tej ważnej dziedzinie. Producenci będą musieli szanować droższe obecnie projekty i przestrzegać praw autorskich ich twórców. Przygotowuje się też przepisy dotyczące zatrudniania plastyków na zasadzie umowy o pracę, a nie tylko o dzieło... I najważniejsze: producenci wreszcie zobowiązani zostali do współdziałania z artystą – od wstępnych założeń, poprzez produkcję, aż do oceny gotowego wyrobu.

JULIUSZ GOSTKOWSKI

Fot. **archiwum**

Węglociąg Katowice Triest

Włochy są tradycyjnym odbiorcą polskiego węgla. W okresie międzywojennym duża część, żeby nie powiedzieć przeważająca, naszych zakupów na Półwyspie Apenińskim była opłacana węglem pochodzącym ze Śląska i Zagłębia. Za węgiel otrzymywaliśmy nowoczesne transatlantyki m. in. m/s „Batorego" a także sycylijskie mandarynki i cytryny...

W kilka lat po zakończeniu II wojny światowej tania ropa naftowa wyparła w energetyce większości krajów węgiel z dotychczas zajmowanej uprzywilejowanej pozycji. Mimo to, eksport polskiego węgla stanowił zawsze trwałą, liczącą się pozycję w polsko-włoskiej wymianie handlowej. Uprzemysłowiona Italia, kraj gęsto zaludniony, z dużymi ośrodkami miejskimi potrzebował ogromnych ilości energii. Własne zasoby są znikome. Wynika stąd konieczność zaopatrzenia kraju w niezbędne ilości energii, na którą zapotrzebowanie, niezależnie od przewidywanych posunięć oszczędnościowych, będzie systematycznie rosło.

W związku z tym rozważa się różne możliwości. Jedną z nich jest energetyka jądrowa, przy wszystkich zastrzeżeniach związanych z zagrożeniem środowiska. Inną możliwością, braną szczególnie pod uwagę w południowej części półwyspu i na Sycylii, gdzie jest duże nasłonecznienie, jest wykorzystanie energii słonecznej. Kolejna możliwość to sięgnięcie do tradycyjnych źródeł energii – do węgla.

Włoscy działacze gospodarczy doskonale zdają sobie sprawę z węglowej potęgi Polski. Tradycje i doświadczenia z przeszłości istnieją i – co ważniejsze – tkwią jeszcze w pamięci wielu włoskich ekonomistów. Dotychczas polski węgiel transportowano do Italii dwiema drogami: koleją przez Czechosłowację i Austrię oraz z portów bałtyckich i dalej statkami wokół Europy. Obydwie trasy są bardzo kosztowne.

W tej sytuacji, rozważając możliwości potanienia transportu, w toku rozmów włosko-polskich wyłoniła się całkowicie nowa, nie tylko w skali europejskiej, koncepcja budowy rurociągu węglowego, łączącego Katowice z Triestem. Przedsięwzięcie to będzie – z technicznego punktu widzenia – niezwykle ciekawe. Odległość między Triestem a Katowicami wynosi około 700 km. Po drodze są jednak liczne wzniesienia, trzeba przekraczać Alpy, pokonywać rzeki i wąwozy. Zachodzi potrzeba zastosowania rur o odpowiedniej, wysokiej wytrzymałości, zwłaszcza na tarcie. Potrzebne są także stacje – przepompownie.

A zalety? Przede wszystkim znacznie mniejszy koszt przy masowym transporcie, znacznie mniejsze zużycie energii, niezbędnej do przeniesienia ładunku. Rurociąg układać się będzie na znacznej jego długości pod ziemią, co uniezależni transport od trudności związanych z warunkami atmosferycznymi.

W stacji wysyłkowej, wyposażonej w odpowiednie urządzenia i instalacje, polski węgiel w postaci mieszanki drobno zmielonego węgla i wody byłby – za pośrednictwem rozmieszczonych na trasie stacji pomp – przesyłany w ciągu kilku dni do Triestu. We Włoszech instalacje odbiorcze przygotowywałyby mieszankę do dalszego wykorzystania bądź w postaci surowca energetycznego, bądź też w postaci materiału dla baterii koksowniczych.

Badania, przeprowadzone przez zespół naukowo-techniczny, wykazały, że z punktu widzenia technicznego projekt rurociągu węglowego jest możliwy do zrealizowania. Obecnie rozważane są aspekty ekonomiczne. Warto dodać, że węglociągiem zainteresowane są również kraje tranzytowe: CSRS, a zwłaszcza Austria.

Dlatego już teraz, gdy to unikalne przedsięwzięcie jest jeszcze w sferze projektów, niektórzy rozważają, czy jego wydajność będzie wystarczająca? (b)

T. ŁOJKOWSKI (Interpress)

Na ścianie skrytki wisiała tablica ze schematami łączeń. Ogląda ją prof. Groszkowski

POWRÓT DO ŚMIERCI

Trwa poszukiwanie pamiątek z lat okupacji. Może Wasi rodzice, dziadkowie znają miejsca ukrycia dokumentów, sprzętu, wyposażenia podziemnej armii. Nawet najmniejszy ślad jest cenny! Wszelkie informacje zgłaszajcie do redakcji „Kuriera Polskiego" lub do „Świata Młodych".

Trzymając niewielki nabój, człowiek stojący obok mnie powiedział: – To jedenastka. Takimi strzelałem w powstaniu. Pamiętam...

Pozornie beznamiętne słowa wywołały lawinę wspomnień nieomal wszystkich zebranych przy niewielkim, drewnianym domku na dawnym Bernerowie.

Głęboko zakonspirowani – mówiło się przed przeszło 30 laty o tych, którzy mimo straszliwych represji ze strony okupanta niemieckiego nie rezygnowali z walki. Szukało się wówczas najspokojniejszych miejsc w Warszawie, aby ukryć radiostację, ważne dokumenty, broń. Taką właśnie spokojną dzielnicą było wówczas Bernerowo. I teraz Bemowo (bo taka jest dziś nazwa tej dzielnicy) jest oazą ciszy i spokoju w coraz ruchliwszej Warszawie. O kryjówkach, schowkach, skrytkach wiedzieli jedynie ci, którzy je budowali, przygotowywali, nie znając ich przeznaczenia. Natomiast użytkownicy, najczęściej radiotelegrafiści, przyjeżdżali zawsze ostrożni, pełni napięcia: „Czy dziś uda się jeszcze szybko nadać zaszyfrowaną wiadomość? A może na miejscu są już Niemcy?!" Wyobrażam sobie jak do skromnego drewnianego parterowego domku zbliża się człowiek pozornie obojętny, ale sprężony do natychmiastowej ucieczki, ukradkiem rozglądający się na boki. Cicho zamknęły się za nim drzwi...

Jak to dziś inaczej wygląda. Tuż koło pętli 20-tki, skąd widać nr 18 na ulicy Telefonicznej, wielkie poruszenie. Wozy telewizyjne, radiowe, redakcyjne. Kilkanaście osób na podwórzu.

– Gdzie podziała się gospodyni? – zdenerwowany „sprawca" dzisiejszego trochę dziwnego spotkania, red. Juliusz Smoczyński z „Kuriera Polskiego", kręci się niespokojnie, patrząc na zegarek. – Umówieni byliśmy na 10.00. Taaka bomba!!! Odnaleziona skrytka z czasów wojny! A nie ma kto piwnicy otworzyć!!!

– Czy na pewno to tu, inżynierze? – pyta ktoś. Zenon Łuczak kiwa głową. – Nie mogłem się pomylić. Ten dom, to samo mieszkanie na parterze. Własnymi rękoma ustawiałem żelazny piecyk na klapie tajnego wejścia. Dziś, żeby tą drogą dostać się do skrytki, trzeba by piec kaflowy całkiem rozebrać.

– Najedliśmy się trochę strachu! – mówi zdyszana gospodyni, Stanisława Kaczmarska. – Toż to zrujnowanie mieszkania. 21 lat jak tu mieszkamy. A tu nagle... Ściany chcą rozbierać! Mówią: „Ludzie, wy na skarbach żyjecie". Jakie tu skarby? O, tymi schodami, klnąc, bo takie strome, codziennie schodzę. A to weki na zimę ustawić na półkach w piwnicy, a to kartofle „zazimować". I nigdy nic nie zauważyłam. Żadnej szparki. A tu dziś – mówią, że tam pod piwnicą cały bunkier...

– No, zaczynamy – to chyba szef od robót budowlanych. Pierwsi idą robotnicy z łomami w ręku. A dalej już tłum. Każdy chciałby blisko. Taki moment. Jak to wygląda? Co w tej skrytce znajdziemy?

– Chwileczkę, panowie, spokojnie – odzywa się starszy pan w wojskowym mundurze. – Trzeba sprawdzić. Takie miejsca bywały zaminowane. I nie zważając na niecierpliwych uczestników „otwarcia" opowiada: „Kiedyś wezwano nas do wykopu, w którym ładunków wybuchowych było a było. Cały arsenał. Wszystko zardzewiałe. Na miejscu trzeba było wysadzać."

taboret, a na nim zbutwiałe słuchawki. Tu siedział przecież człowiek – myślę. I chyba właśnie ten zwykły „ludzki" sprzęt wywołuje chęć mówienia.

– Stąd chyba nie nadawano niczego – zwraca się profesor Groszkowski do inżyniera Łuczaka.

– Hm... Nie wiem. Ale rzeczywiście. Tyle tego sprzętu, a tak na ogół się utarło, że tam, gdzie magazynowało się większą ilość tajnych przedmiotów, nie wolno było prowadzić dodatkowo innej roboty.

– A tu chyba był jakiś warsztat – magazyn. Może naprawiano zepsuty sprzęt?

– Chociaż – wtrąca się ktoś inny – nie ma żadnych urządzeń do produkcji i naprawy.

Krzyżują się słowa, domysły. Czy skrytka świadomie została zlikwidowana z powodu groźby dekonspiracji? Czy może człowiek czy ludzie z niej korzystający, nie zdołali któregoś dnia wyrwać się z łapanki.

Rozglądam się wokół. Rozmowy każdego z każdym. Nad górą, już teraz – znaleziska – pochylone głowy. Raptem stwierdzam, że ludzi jest znacznie więcej niż godzinę temu. Jacyś chłopcy nieśmiało się wszystkiemu przyglądają. Wyobrażam sobie jak bardzo chcieliby na własne oczy zobaczyć kawałek tekstu z rozsypującej się książki meldunków. Starszy, siwy pan swoim donośnym, tubalnym głosem zwrócił uwagę obserwatorów wydarzenia.

– Jestem sąsiadem i też działałem w konspiracji. To dziwne, ale nie zauważyłem wówczas żadnego ruchu wokół tego domu. Może Boguszewski spod szesnastki coś mógłby na ten temat wiedzieć? Mieszkał tu przez całą wojnę. Mieszka i teraz. A tak, wiedział, a raczej domyślał się, że coś się dzieje w sąsiedniej posesji. A domysły swoje opierał na własnych doświadczeniach.

– Sam też wybudowałem pod piwnicą schowek. Kwaterował u mnie jeden z oficerów niemieckich.

Dzięki temu mógł legalnie zatrzymać w domu prostowniki do ładowania akumulatorów. Wieczorem ze strachem schodził do piwnicy i zasuwając za sobą klapę chwilę pewnie siedział opanowując rozdygotane nerwy. A potem ładował akumulatory. Rano jazda na Plac Teatralny. Do księgarni.

– Czy dostanę jakąś książkę kucharską? – pytał, stawiając na ladzie niewielkie zawiniątko.

– Nie ma? A, to szkoda! Wychodząc „zapominał" o cennej paczce.

Następnego dnia w poszukiwaniu tej samej, a może innej lektury zabierał „przez pomyłkę" także stojący na ladzie tajemniczy prostokątny przedmiot. Z takim „nabojem" wracał wieczorem do swej kryjówki. I tak wiele, wiele razy. Choć strach wciąż miał ten sam smak.

– Tu musi coś jeszcze być. – Zenon Łuczak, kiedy zgłosił się na apel „Kuriera Polskiego", mówił o możliwości znalezienia w skrytce na Bemowie broni i dokumentów należących do pierwszego dowódcy Polski Podziemnej, generała Michała Tokarzewskiego. Upór poszukiwaczy został nagrodzony. W jednej ze ścian bunkra – schowka „wystukano" maleńką skrytkę. Po otwarciu bardzo powoli i ostrożnie wydobyto jakieś papiery. Jakieś, bo były to właściwie szczątki w stanie prawie całkowitego zniszczenia. Jeszcze trochę szperania i... zardzewiały sześciostrzałowy „Colt" wraz z 24 nabojami znalazł się w ręku przedstawiciela MO, towarzyszącego zawsze przy tego rodzaju wydarzeniach. Jeden z tych naboi sprowokował u stojącego obok mnie człowieka wspomnienie obrazów grozy. Ileż musiała kosztować go rozmowa z inżynierem Łuczakiem, w której pytając o inne skrytki na Bemowie prawie prosił o potwierdzenie: „Tak, były jeszcze inne". Odpowiedzi jednak nie dosłyszałam. Nie miałam śmiałości pytać. Mieli do tego prawo w tym momencie tylko ci, którzy przeżyli koszmar wojny. I miałam rację! Człowiek z taką pewnością poszukujący „gdzieś tu, w tej okolicy, jeszcze jednego schowka" powiedział półgłosem, jakby do siebie: „Musi tu gdzieś być – tak mówił „Staszek". Gdy umierał, obiecałem mu, że ją odnajdę."

Tramwaj 20-tka długo wlecze się do Śródmieścia. Był czas, kiedy tę trasę pokonywano dzień w dzień na piechotę. Klucząc, gubiąc „ogon" konfidentów Gestapo. I jakże często nie sposób było dobrnąć do celu...

– Pyta pani, czym dla mnie, byłego żołnierza konspiracji, jest otwarcie skrytki na Telefonicznej? Powrotem do śmierci!

Nad tymi trzema słowami myślałam, jadąc z dawnego cichego i spokojnego Bernerowa.

MILENA HAYKOWSKA

Fot: Tadeusz Koszyński „Kurier Polski", Andrzej Kossobudzki

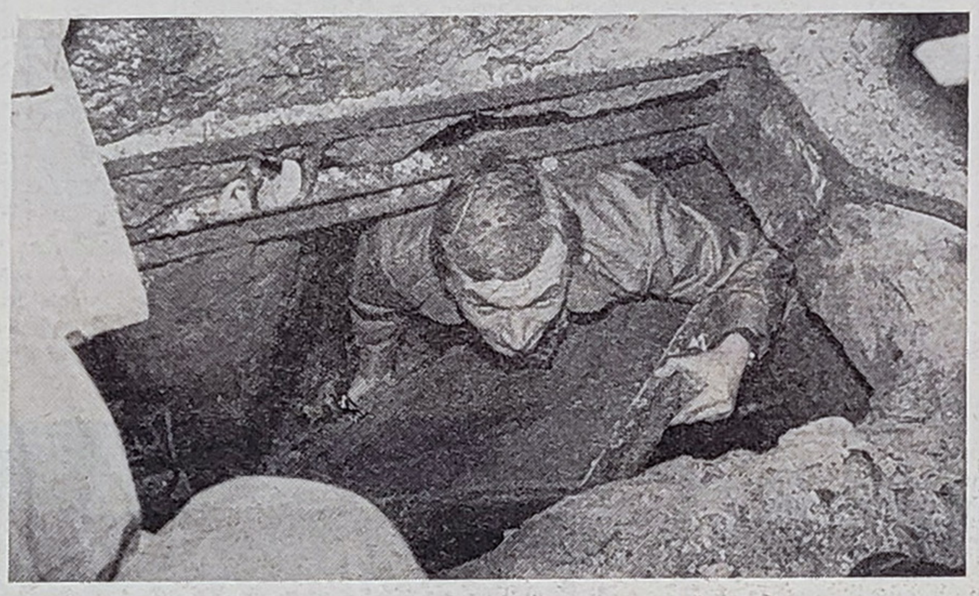

Skrytka już otwarta!

– Panie pułkowniku, tu jakieś kable wystają – zwraca się ktoś do specjalisty – minera z WAT.

– Przeciąć – pada krótkie polecenie.

– A mówiłem, że tędy, od piwnicy też wejdziemy – cieszy się inż. Łuczak. – Nie wierzyliście. A ja dobrze pamiętam swoją robotę. Zawsze kiedy można było, robiło się dwa wejścia. Tu – jedno prowadziło z mieszkania, a drugie zapasowe – właśnie z piwnicy.

Teraz ostrożnie wsuwa się w wąski otwór redaktor Smoczyński. Wszyscy czekamy. Czy triumfalnie zakończy się ta „ekspedycja"? Tak, tak, w dziurze podłogi ukazuje się uśmiechnięta twarz. Pomóżcie! W rękach metalowa skrzynka. Podawana z rąk do rąk, ustawiona zostaje na podwórzu. Wkrótce koło niej cały skład. Radioodbiorniki, nadajniki, klucz do nadawania alfabetem Morse'a.

– Może to jeszcze będzie działać? – uśmiecha się kręcąc gałką prof. Jan Groszkowski. – Skąd tu taki sprzęt? Profesor w czasie okupacji był ekspertem od spraw radiotechnicznych Armii Krajowej. A mimo to nic o domku i tej skrytce nie wiedział. I więcej jeszcze. Znał dobrze mieszkańców spod numeru 18, Jana Wojno i jego żonę Irenę.

– Cóż, takie były prawa konspiracji – wspomina zamyślony.

Sprzętu wciąż przybywa. Ludzie wynoszą zaśniedziałe skrzynki, akumulatorki, przetwornice – wszystko bardzo zniszczone.

– Dużo tam jeszcze tego? – pyta ktoś. A jeszcze. Rzeczywiście w bunkrowatym pomieszczeniu wielkości 2 × 2 m może zmieścić się niemało. I znów nowe części. I taboret zwykły

Sześciostrzałowy „Colt" z nabojami

Sprzęt radiotelegraficzny znaleziony na Bemowie

REDAKCYJNA POCZTA

Staram się, ale bez skutku!

W „Redakcyjnej Poczcie" spotykam wiele listów mówiących o konfliktach wewnątrzklasowych. Jestem uczniem VII klasy, której również jestem gospodarzem. Od I klasy chodzimy razem do szkoły, ale nie potrafimy porozumieć się. A wszystko przez kilku chłopców. Pragnąłem, aby nasza klasa czymś wykazała się. Podsuwałem propozycję zorganizowania loterii fantowej, konkursu czy pracy społecznej. Usłyszałem, „to nuda, i w ogóle nie opłaca się". Gdy nie odrobią pracy domowej, wtedy są dla mnie bardzo mili. Nie chciałbym jednak być w skórze tej osoby, która odmówiła im „pożyczenia" zeszytu! Staram się jak mogę, ale to nie daje żadnych skutków. Bardzo proszę, wydrukujcie mój list. Może Czytelnicy napiszą do mnie i poradzą, co mam robić!

Heniek K.

Takim słowem też można zranić

Jestem uczniem Zasadniczej Szkoły Samochodowej. Z moim problemem borykam się już kilkanaście lat. Bardzo utrudnia mi życie fakt, że jestem rudy. Wszyscy „nierudzi" uśmiechną się pewnie lekceważąco mówiąc: „chłopaku przestań wydziwiać; z tym da się żyć!" No więc proszę bardzo, spróbujcie, przekonacie się wtedy, że na każdym kroku słyszeć będziecie „rudy", „ryży", „brzydal", „wiewiór". Daję słowo, do tego nie można przyzwyczaić się. Nie mam ochoty spotykać się z kolegami, przekraczać progu szkoły. Każdy dzień niesie to samo. Dlaczego nikt nie zastanawia się nad tym, że tak mocno można zranić głupim żartem i bezmyślnym słowem?

Rudy 15-latek

Wojtek Raczek uczeń VII klasy, interesuje się zwierzętami: Europy, Azji i Ameryki Północnej oraz starą bronią. Pragnie nawiązać korespondencję z rówieśnikami o podobnych zainteresowaniach. Prosi o listy na adres: 34-653 Pisarzowa 75, woj. Nowy Sącz.

Czy to ja powinnam się zmienić?

Kochana „Poczto"! Mój problem uznasz na pewno za mało typowy dla 14-letniej dziewczyny. Otóż moim zmartwieniem jest zainteresowanie jakim darzą mnie chłopcy i spowodowana nim zazdrość ze strony koleżanek. Może dlatego tak się dzieje, że mam wiele tzw. chłopięcych zainteresowań: gram w piłkę nożną dużo lepiej od niektórych kolegów, gram w hokeja, dużo biegam, jednym słowem zajmują mnie męskie dyscypliny sportu. Po lekcjach wiele czasu spędzam na boisku z kolegami. Aby poprawić stosunki z koleżankami próbowałam zmienić upodobania, ale przychodzi mi to bardzo trudno. Koleżanki dokuczają mi na każdym kroku np. kiedy jestem pytana przeszkadzają mi, chcąc, abym otrzymała jak najsłabszy stopień. Pomóżcie, bo mi z tym wszystkim naprawdę bardzo ciężko! Ja naprawdę chciałabym mieć fajne koleżanki!

Dorota z Podjuch

LEKKOMYŚLNOŚĆ ZA 3.200

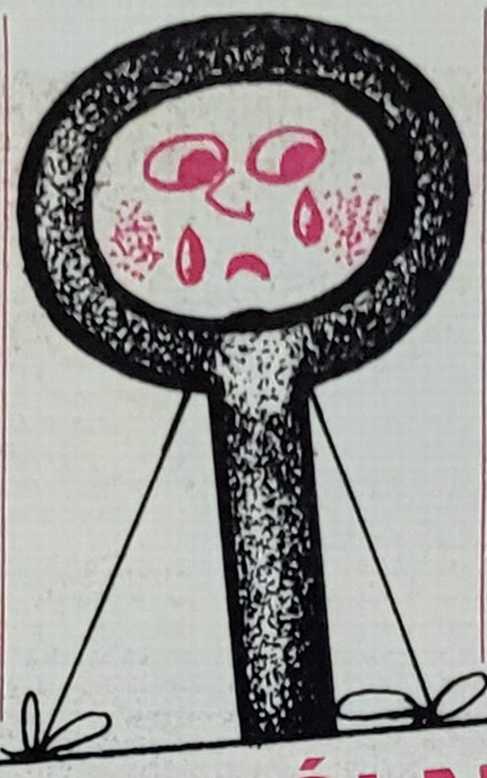

– Tak, sprawa jest mi znana, jest zresztą znana w całej szkole. Kradzież takiej sumy! Dokładniejszych informacji mógłby pani udzielić opiekun spółdzielni uczniowskiej lub dyrektor. Ma pani jednak pecha, obydwaj są dziś nieobecni.

Nauczycielka pomoże mi jednak. Zaraz zawoła autorkę listu, który przyszedł do redakcji i który mnie zainteresował.

W chwilę później Małgosia siedzi naprzeciw mnie.

– To było na początku marca. W czwartek w szkole zorientowałam się, że nie mam klucza od sklepiku. Nie zmartwiłam się, bo pomyślałam, że pewnie zostawiłam go w domu. Już kilka razy mi się to zdarzyło. Nic więc nikomu nie mówiłam. Otworzyłyśmy sklepik, bo Bożena miała drugi klucz.

– To były dwa klucze?

– Trzy. Trzeci miał opiekun spółdzielni, pan Piotrowski. No więc sprzedawałyśmy jak zwykle. Po lekcjach poszłam do domu, a Bożena jeszcze została, bo miała coś do zrobienia w sklepiku. Wieczorem przeszukałam cały dom, ale klucza nie znalazłam. Pomyślałam sobie, że ktoś mi go ukradł. Następnego dnia, w piątek, na pierwszej lekcji dowiedziałam się od Bożeny, że rano sklepik był otwarty, chociaż go wieczorem zamknęła. A podczas przerwy zobaczyłyśmy, że zginęły pieniądze. Powiedziałyśmy panu Piotrowskiemu. Zarządził remanent.

– Jak wygląda regulamin waszego sklepiku?

Małgosia nie potrafi na to odpowiedzieć.

– Czy zdawałyście codziennie utarg? Jak się to odbywało?

Dopiero jak zebrała się większa suma, oddawałyśmy ją opiekunowi.

Okazuje się, że czasem ta suma dochodziła do czterech tysięcy złotych. W chwili kradzieży wynosiła 3200 zł.

– Gdzie były przechowywane pieniądze?

– W szufladzie.

– Zamykanej na klucz?

– Nie.

Skóra cierpnie na myśl o takiej lekkomyślności. Ale czy lekkomyślnie postępowały jedynie dziewczęta? Ciekawe, co odpowiedziałby na to pytanie opiekun Spółdzielni Uczniowskiej?

Małgosia opowiada dalej. Mówi, że minęły prawie dwa tygodnie i nic się nie działo. Nikt z nimi na temat tej historii nie rozmawiał. Miały nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży. Aż tu nagle po tygodniach ciszy podczas apelu podsumowującego działalność spółdzielni pan Piotrowski ogłosił wobec całej szkoły: „Jako odpowiedzialne za kradzież takiej sumy Małgosia i Bożena muszą pokryć straty z własnej kieszeni".

Małgosia nie może pogodzić się z tym. Nie było przeciwko nim żadnych konkretnych dowodów, nie było prowadzone żadne śledztwo, nie zrobiono nic, aby sprawę wyjaśnić do końca. Od razu uznano, że to one i tylko one są odpowiedzialne i pieniądze ukradły! Komunikat na apelu był dla nich jak grom z jasnego nieba. I dlatego napisała list do redakcji.

– Co miałaś na myśli, prosząc nas w liście o pomoc?

– Miałam nadzieję, że dzięki wam po wyjaśnieniu tej sprawy Spółdzielnia Uczniowska, która ma zresztą na swym koncie ogromne sumy, jakoś pokryje straty.

Tyle rozmowa z Małgosią.

Wchodzi Bożena. Jest bardziej zdenerwowana. Ona nic nie wiedziała o liście Małgosi do redakcji. Mówi, że jest jej bardzo ciężko, bardzo źle. Wszyscy uważają ją teraz za złodziejkę. Żeby tylko w szkole. Cała wieś o tym mówi.

Bożena płacze.

Pieniądze? Ona nie wie, jak z tym będzie, mama była wczoraj w szkole i coś załatwiała. Ale opinia...

– Jak wyglądał dzień, w którym odkryto kradzież?

– W piątek przyszłam do szkoły parę minut przed pierwszą lekcją. Nie warto było już otwierać sklepiku. Jakieś małe dziewczynki jednak bardzo mnie o to prosiły, by chciały kupić zeszyty. Zdecydowałam się otworzyć. Wtedy stwierdziłam, że nie jest zamknięty. A przecież zamykałam go poprzedniego dnia. Sama nie wiem, jak znalazłam się nagle w środku, a razem ze mną te dzieciaki. W końcu sprzedałam im zeszyty i poszłam na lekcję.

– Dlaczego nie zawiadomiłaś od razu kogoś z dorosłych? Czemu nie zajrzałaś do szuflady z pieniędzmi? Tak zwyczajnie poszłaś sobie na lekcję?

– Jakoś tak. Dopiero na przerwie sprawdziłyśmy z Małgosią, czy są pieniądze. Nie było ich, więc zawiadomiłyśmy opiekuna.

Wchodzi dyrektor szkoły, który, chociaż jest teraz na urlopie, wpada czasem zobaczyć co słychać.

Na moje pytanie dyrektor odpowiada, że może mi pewne rzeczy wyjaśnić, gdyż poszedł na urlop dopiero w dwa dni po tym przykrym wydarzeniu.

WYJAŚNIENIA DYREKTORA:

Przed przystąpieniem obydwu dziewcząt do pracy w sklepiku ich matki podpisały oświadczenie, w którym zobowiązały się pokryć ewentualne straty finansowe, gdyby takowe wynikły z winy ich córek.

Pewnego rodzaju śledztwo zostało przeprowadzone przez dyrektora i opiekuna Spółdzielni Uczniowskiej. Dziwne, że dziewczęta nie pamiętają swoich rozmów właśnie z dyrektorem, rozmów mających na celu wyjaśnienie sprawy.

Podczas tego dochodzenia ustalono, że w pomieszczeniu sklepiku często gościli koledzy i koleżanki obydwu sprzedawczyń. Mieli wtedy okazję zorientować się dokładnie, gdzie przechowywane są pieniądze. Poza tym dziewczyny pożyczały klucze do sklepiku koleżankom, które wchodziły tam same i brały potrzebne im artykuły.

Matka Bożeny była wczoraj w szkole i wpłaciła pieniądze.

Pan dyrektor nie potrafi nic powiedzieć na temat regulaminu Spółdzielni Uczniowskiej, czy też regulaminu sklepiku. O tym mógłby mi coś powiedzieć jedynie opiekun spółdzielni, pan Piotrowski.

Mój rozmówca zgadza się ze mną, że sumy tego rzędu w żadnym wypadku nie powinny być tak lekkomyślnie i beztrosko pozostawione w sklepiku. Zgadza się ze mną również co do tego, że jeśli na apelu ogłoszono, kto jest odpowiedzialny za kradzież w sklepiku i musi w związku z tym zapłacić, to wszyscy mogli zrozumieć, że osoby te ukradły. Należało więc wyjaśnić na czym polegała wina Małgosi i Bożeny.

Lekkomyślność, nawet bezmyślność przed i po fakcie, ale nic więcej. Kradzieży nikt nie udowodnił. Jest tylko manko w kasie.

Zastanawiamy się teraz wspólnie, jak można temu zaradzić. Pan dyrektor decyduje się ogłosić osobiście na kolejnym apelu sprostowanie, że nikt nie miał na myśli tego, iż Małgosia i Bożena pieniądze te w jakiś sposób „upłynniły".

Jeśli już prowadzi się jakąś działalność społeczną nie można tego robić „na żywioł". Co z tego, że Spółdzielnia Uczniowska może pochwalić się najlepszymi w gminie, a nawet nie tylko w gminie, osiągnięciami – roczny obrót ok. 100.000 zł – jeśli skrzywdzone zostają co najmniej dwie osoby? **Są skrzywdzone, bo w końcu jeśli nawet jakaś ich wina jest faktem, to faktem jest też, że gdyby istniał regulamin SU, gdyby ktoś wymagał jego przestrzegania i gdyby przestrzeganie to było sprawdzane, do tragedii by nie doszło. Bo dla tych dziewcząt to jest tragedia.**

A może by tak zabronić brać ze sobą do domu klucz od sklepiku? Powinien zostawać np. w sekretariacie, albo jakimś innym, pewnym, miejscu.

A może by tak opiekun SU odbierał i umieszczał pod kluczem codzienny utarg. Pieniądze to pieniądze i można sprawić choćby zamykaną kasetkę, a nie upychać je po prostu w szufladzie.

A już odrębną całkiem sprawą jest alarmujące, według mnie, stwierdzenie jednej z dziewcząt, że nigdy nie weźmie się za żadną pracę społeczną.

EWA KOSIŃSKA

Chcesz zdobyć intratny i przyjemny zawód podejmij naukę w ZASADNICZEJ SZKOLE PRZEMYSŁU SZKLARSKIEGO w Piotrkowie Trybunalskim ul. Roosevelta 1

Po ukończeniu szkoły istnieje możliwość kontynuowania dalszej nauki na wydziale zaocznym technologii szkła w Technikum Chemiczno-Ceramicznym. Zatrudnienie absolwentów na stanowiskach wysoko kwalifikowanych pracowników jest zapewnione w hutach szkła całego kraju.

Do szkoły przyjmowani są tylko chłopcy, cieszący się dobrym zdrowiem, absolwenci 8-klasowej szkoły podstawowej. Przyjęcia bez egzaminu. Nauka w szkole trwa 3 lata. Uczniowie zamiejscowi mają zapewniony pobyt w internacie. Zapisy trwają do 1 czerwca 1978 r.

K–71

Umówmy się na... schodach

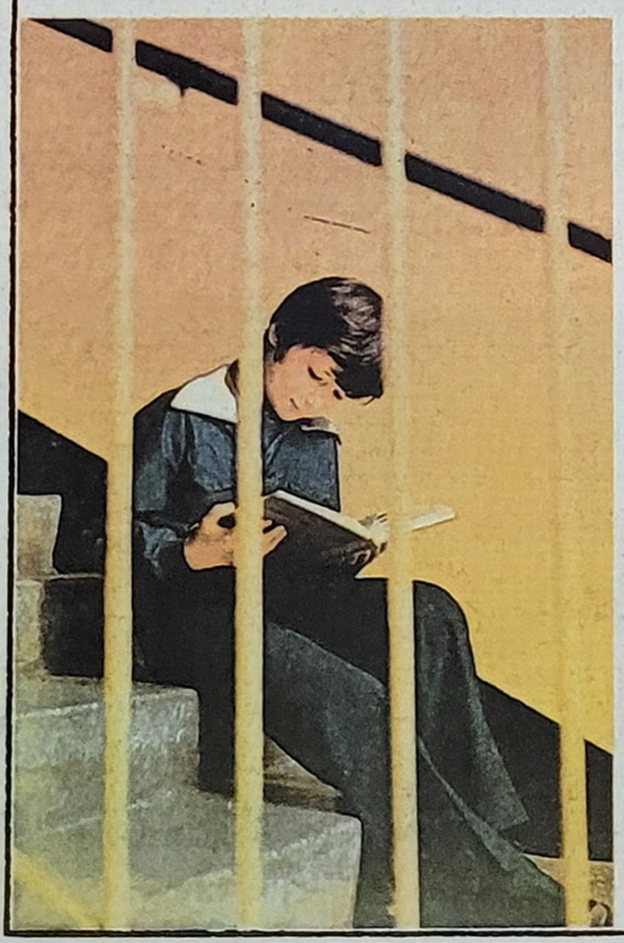

Szkolne schody to centrum towarzyskich spotkań. Tu można wymienić poglądy na najtrudniejsze problemy, można podzielić się ostatnimi rewelacyjnymi wiadomościami, to także najlepsze miejsce do powtórzenia ostatniej lekcji i przygotowania się do kartkówki.

Refleksyjnych – schody nastrajają do zadumy, poważnego myślenia o tym, co się zdarzyło i jak wytłumaczyć... nieobecność na ostatniej lekcji.

Na schodach można dokładnie przyjrzeć się kreacjom dziewczyn czy też... zalotnie spojrzeć na chłopaka. Na schodach najczęściej nadarza się okazja do krótkiej rozmowy z nauczycielem, jeśli nie chcemy, by zadawał zbyt wiele pytań.(**pas**)

Fot. **Krzysztof Niedźwiecki**

ALBUM KIBICA

MEKSYK

TEN RYWAL MOŻE SPRAWIĆ NIESPODZIANKĘ

Piłkarze kraju Azteków tylko trzykrotnie nie uczestniczyli w finałowym turnieju o mistrzostwo świata. W 1934 r. zostali wyeliminowani przez USA, w 1938 r. wycofali się z rozgrywek, w 1974 r. ulegli Haiti. Porażka z nisko notowaną drużyną Haiti stała się sygnałem do odnowy meksykańskiego futbolu. Do reprezentacji wprowadzono młodych zawodników, zapewniono jej też szersze kontakty z drużynami europejskimi i południowoamerykańskimi.

Te zabiegi w stosunkowo krótkim czasie pozwoliły Meksykanom opanować grę bardziej nowoczesną i skuteczną. W efekcie reprezentacja juniorów wywalczyła w Tunisie wicemistrzostwo świata, a seniorzy w spotkaniach towarzyskich uzyskali tak cenne rezultaty jak 1 : 1 z Argentyną w 1975 r., a w ostatnim piłkarskim sezonie 5 : 1 z Jugosławią i 2 : 1 z Peru oraz 2 : 2 z RFN i 1 : 1 z Węgrami.

Awans do finałów tegorocznych mistrzostw świata nie przyszedł jednak Meksykanom łatwo. W finale turnieju strefowego znaleźli się dzięki lepszemu bilansowi zdobytych bramek. W następnych meczach pokazali jednak na co ich stać. Prestiżowy mecz z Haiti wygrali 4 : 1, z Salwadorem – 3 : 1, z Surinamem – 8 : 1, z Gwatemalą – 2 : 1 i Kanadą – 3 : 1.

Jeszcze za wcześnie mówić o wielkich gwiazdach meksykańskiego futbolu, ale młodzieżowy duet Victor Rangel – Hugo Sanchez wsparty doświadczonymi piłkarzami może pomieszać szyki najlepszym. Właśnie ten duet zdobył 11 z 20 goli strzelonych w finałowym turnieju strefowym. Warto również zwrócić uwagę na doświadczonego skrzydłowego Leonardo Cuellara. W opanowaniu nowoczesnej techniki gry nie ustępuje on najlepszym europejskim piłkarzom.

Trener reprezentacji Meksyku, Jose Antonio Roca, postawił na młodzież i szybki atak. Pod tym też kątem wciąż uzupełnia swoją drużynę. Do kadry na finały XI MŚ powołał najlepszych napastników z drużyny wicemistrza świata juniorów: Hugo Rene Rodrigueza (18 lat) oraz 19-latków – Augustino Manzo i Enrique Lopeza Zuarzę. Z weteranów ujrzymy zapewne 32-letniego Javiera Guzmana i dwóch 30-latków – bramkarza Francisco Castrejona i obrońcę Trujillę. A więc młody atak wsparty doświadczoną defensywą.

Biało-czerwoni spotkali się z reprezentacją Meksyku dwukrotnie. Pierwsze spotkanie (5.VIII.1973 r.) w Los Angeles wygrali Polacy 1 : 0, a w trzy dni później w Monterrey – 2 : 1. Ale od tamtych spotkań minęło sporo czasu i Meksykanie nie bawią się już dziś w koronkowe akcje i nie próbują z piłką „wjechać" do bramki. Nie ma też w tej drużynie wyraźnego podziału na atak i obronę. Ten przeciwnik do słabeuszy nie należy.

Reprezentacja Meksyku, nasz przeciwnik 10 czerwca na stadionie Central w Rosario. Od lewej: Javier Guzman, Alfredo Jiminez, Alfredo Tena, Francisco Castrejon, Raul Isiodria, Leonard Cuellar, Antonio de la Torre, Paco Solis, Hugo Sanchez, Manuel Najera i Arturo Vasquez Ayala.

Fot. **archiwum**

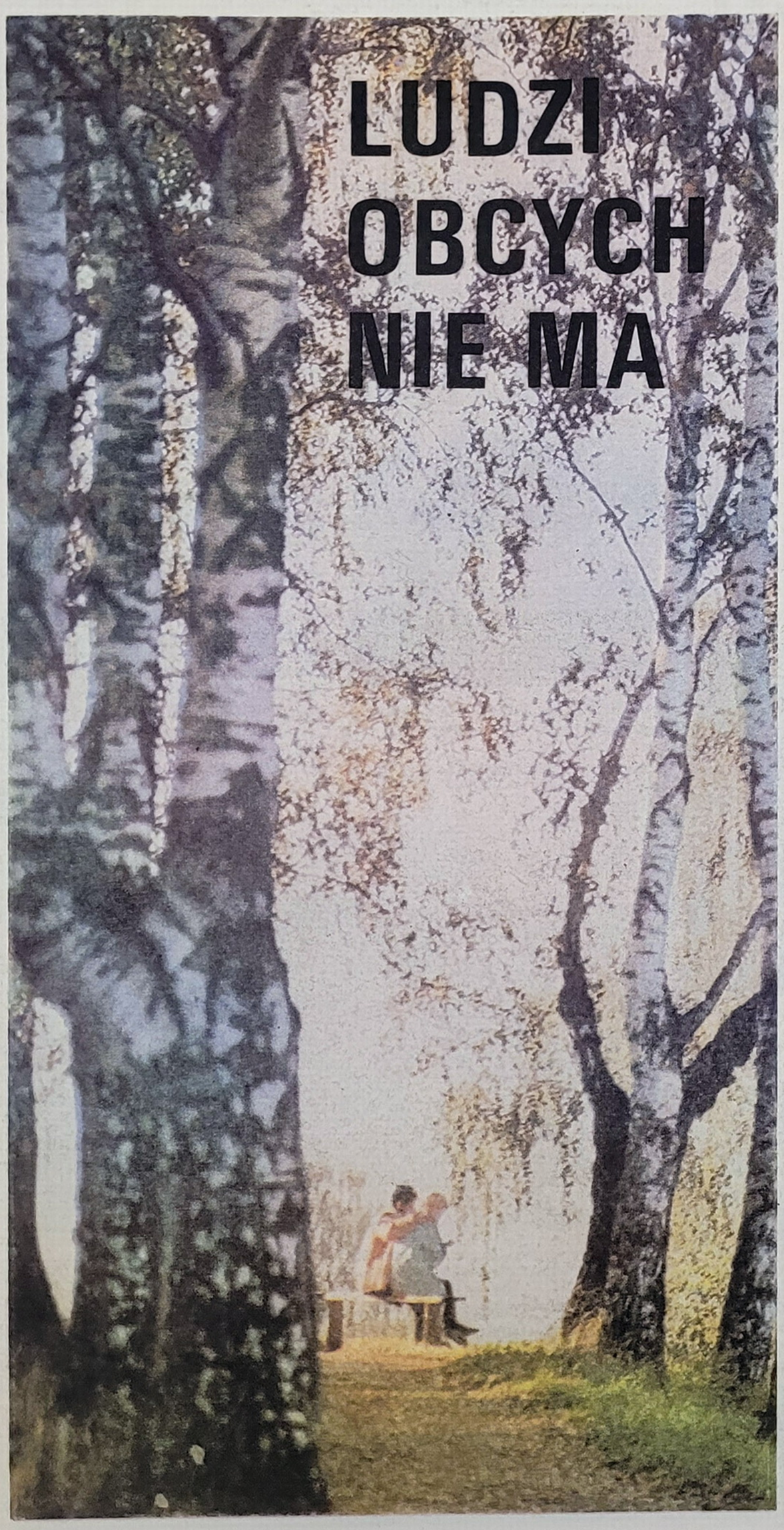

LUDZI OBCYCH NIE MA

W poprzednim numerze Jurij Orlik – korespondent „Komsomolskiej Prawdy" w Polsce, opowiadał o swoich dziennikarskich przygodach, o roli jaką odegrała w życiu jego żołnierska menażka i o dziewczynie – Wali Sawieljewej, która została odznaczona medalem wojskowym, choć nie wąchała prochu i wojny nie pamiętała. Oto dalszy ciąg jego opowieści, w której nie będzie już mowy o wojnie tylko o czasach współczesnych. O kierowcy, który spowodował wypadek; o przyjacielu z lat studiów wplątanym w chuligańską awanturę.

Pewnego razu otrzymałem polecenie z redakcji napisania artykułu o młodym delegacie na zjazd Komsomołu Republiki Mołdawskiej. Jak to zazwyczaj bywa w takich przypadkach, zacząłem od Komitetu Centralnego Komsomołu, gdzie pokazano mi listę delegatów. Znalazłem tam jakąś dziewczynę, brygadzistkę z kołchozu, której zresztą nigdy przedtem nie znałem. Nazywała się Marija Rewienko. Powiedziano mi, że dobrze pracuje, wyróżnia się i że jest deputowaną do Rady Najwyższej Mołdawskiej SRR. Dane dobre, ale co to za człowiek, czy interesujący? Nie wiedziałem. Pojechałem do tego kołchozu, rozmawiałem z Rewienko. Coś opowiadała o brygadzie, o plonach, że trudno, że mechanizacja kuleje, że chcieliby więcej pomocy od naukowców. Długo siedzieliśmy, ale nie znalazłem nic takiego w tej dziewczynie, co byłoby jakieś inne, wyróżniające ją spośród przeciętnych ludzi. Wiedziałem, że coś napiszę. Ostatecznie byłem już dziennikarzem od lat kilkunastu. Ale jak? Nie czułem jej, nie rozumiałem, dlaczego jest deputowaną, delegatką na zjazd? Wróciłem do domu, siadłem przed czystym arkuszem papieru, ale w głowie miałem pustkę. Po prostu nie mogłem napisać tak jak chciałbym. Poszedłem do sekretarza Rady Najwyższej Republiki – Agrypiny Kraczun. Porozmawiałem z nią na temat młodych radnych – komsomolców i w końcu naprowadziłem rozmowę na Mariję Rewienko. I co się okazało, otóż Marija przyjechała pewnego razu do towarzyszki Kraczun z prośbą o radę w następującej sprawie: do niej, jako do deputowanej zwróciła się z prośbą pewna kobieta o pomoc. Szło o jej męża, który za spowodowanie wypadku – a był to kierowca ciężarówki – oraz za nieudzielenie pomocy, został skazany wyrokiem sądu na kilka lat kary.

Sprawa była skomplikowana, nie miejsce tu na jej wyjaśnianie, ale faktem jest, że był to do czasu wypadku bardzo dobry pracownik i że polecono mu, wbrew jego sprzeciwom, jechać w daleką drogę z pasażerką, po trzech dobach pracy. Zdarzył się wypadek, z jego winy. Samochód zaczął płonąć, on sam wyskoczył, kobieta została w szoferce, skąd wyciągnęli ją ludzie, którzy na szczęście znaleźli się na miejscu wypadku. Była poparzona, ale przeżyła. Agrypina Kraczun – doświadczony i ceniony pracownik rady, poradziła Mariji, aby poszła do domu tego kierowcy, porozmawiała z ludźmi, sąsiadami, z towarzyszami pracy, co myślą o tym człowieku i jego wypadku. Tak się stało. Rewienko poświęciła tej sprawie wiele czasu, ale w końcu doprowadziła do rewizji wyroku i sąd po rozpatrzeniu okoliczności łagodzących znacznie obniżył wymiar kary.

Ale to jest dopiero część prawdy o Mariji Rewienko. Ta dziewczyna jako małe dziecko była wtedy w drugiej czy trzeciej klasie, w wyniku oparzenia parą straciła wzrok. Mimo to do ósmej klasy chodziła do szkoły w swojej wsi, razem z normalnie widzącymi dziećmi. Dowiedziałem się o tym od jej nauczycielki, już w czasie drugiego pobytu w kołchodzie. Jak ona tego dokonała? – nie wiem. Nie wyobrażam sobie nawet. Trzeba dodać, że w wyniku operacji, Marija wzrok odzyskała. Później skończyła technikum i rozpoczęła pracę. Teraz dopiero spojrzałem na nią inaczej. Co w tej sprawie było dla mnie najważniejsze? Odpowiedzialność tej młodej dziewczyny za los innego człowieka. Człowieka, trzeba to chyba dodać, który nie udzielił pomocy kobiecie, w wyniku czego została ona poparzona. Poparzona – to samo przeżyła Marija. A jednak potrafiła zrozumieć, potrafiła spojrzeć na ten fakt obiektywnie i życzliwie. Nie była obojętna.

Obojętność... To mi przypomina wydarzenie jeszcze z lat studiów. Była to pozornie błaha przygoda, którą przeżył mój przyjaciel. Skutki jej mogły jednak całkowicie zmienić jego życie. Może nawet zmarnować je? Pewnego razu poszedł on ze swoją dziewczyną do parku, tam jacyś młodzi ludzie zaczęli ją zaczepiać. Od słowa do słowa aż wreszcie doszło do bójki, sprowokowanej przez tych chłopaków. A ten mój przyjaciel był chłopem mocnym, a pięści miał jak bokser. Więc jak uderzył, to jego przeciwnik dość mocno to odczuł. Uderzył tylko raz. Jakiś przechodzień zawiadomił milicję i spisano protokół zajścia. Po kilku dniach na uczelni – zebranie Komsomołu. Ktoś – już nie pamiętam kto – zgłosił wniosek o wykluczenie mojego przyjaciela z organizacji i oczywiście z grona studentów za postępowanie niegodne komsomolca. A trzeba dodać, że nie był on takim zwyczajnym studentem, co to prosto ze szkolnej ławy trafia na uczelnię. Przed rozpoczęciem studiów pracował przez kilka lat w drukarni. Więc wniosek – wykluczyć. Ale zaraz odezwały się głosy, że to nie jest sprawiedliwe, że przecież on wystąpił w obronie dziewczyny. Że jest dobrym studentem i był zawsze dobrym komsomolcem, że nie wolno tak niszczyć człowieka. Zaproponowano aby organizacja – to znaczy my wszyscy – zaręczyła za niego. Wniosek przeszedł, co prawda otrzymał naganę,ale został w organizacji i na uczelni. Ta decyzja nie wszystkim się spodobała, zwłaszcza w dziekanacie naszego wydziału.

Co było dalej? Skończył bardzo dobrze studia, został dziennikarzem w telewizji, robił bardzo ciekawe reportaże. Później zaczął pracować naukowo, obecnie jest kandydatem nauk (doktorem – przyp. red.). Jest członkiem partii, założył rodzinę. Jest wartościowym człowiekiem. Wtedy, na tym zebraniu, nie zdążyłem wystąpić w jego obronie. Ale pamiętam to jeszcze dziś, jak było mi miło, że koledzy, którzy znali go mniej niż ja to właśnie zrobili.

Sami komsomolcy, kierownictwo organizacji i my dziennikarze „Komsomolskiej Prawdy", mamy wiele pretensji do działalności niektórych ogniw naszej organizacji. Sporo ciągle jest formalizmu, działania na pokaz, pozornego. Ale kiedy życie styka mnie z takimi faktami i ludźmi, o jakich tu opowiedziałem, to wnioskuję z tego, że nieźle nasz Komsomoł pracuje. A przecież był Magnitogorsk, Komsomolsk nad Amurem, była II wojna światowa – ileż bohaterstwa, później praca na ugorach, a teraz Bajkalsko-Amurska Magistrala. Wszyscy kosmonauci to nasi wychowankowie. Wielkie budowy, patronaty – to Komsomoł, to wszystko młodzi ludzie. I tak zazwyczaj patrzymy na tę ogranizację – w skali ogromnej, społeczno-gospodarczej. Ale znacznie trudniej zobaczyć skutki, efekty działalności Komsomołu na losie jednego człowieka. Trudniej jest operować liczbami na skalę jednostki, niż kraju.

Można przytaczać liczby zaskakujące: ile Komsomoł zrobił dla oświaty, dla nauki, dla podnoszenia kwalifikacji młodych pokoleń. Ile komsomolcy przepracowali godzin w czynach społecznych i jakie wymierne wartości dała ta praca. Wszystko to można policzyć, dodać, zsumować. Liczby to ogromne. Ale za tymi liczbami są ludzie i nie wolno zapominać o żadnym. Na zebraniach Komsomołu ciągle mówi się o tym, że trzeba trafiać do każdego człowieka. Lekko się to mówi, ale bardzo trudno robi.

Na początku naszej rozmowy mówiliśmy o tym, że obcej biedy nie ma, a przecież nie tylko o biedę idzie, nie powinno być w ogóle obcych nam ludzi. Losy innych, nigdy nie powinny nam być obojętne.

Notował **JERZY KOWALKOWSKI**

Fot. **archiwum**

STEYER CITY – BUS

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

Poruszanie się w dużych miastach samochodem staje się coraz bardziej utrudnione. W związku z tym rozważane są propozycje zamknięcia granic miast dla wjazdu prywatnych samochodów osobowych.

Wobec takich perspektyw postawiono przed konstruktorami zadanie opracowania mniejszego środka masowej komunikacji miejskiej, który posiadałby wiele cech właściwych autobusom – odpowiednią wysokość wnętrza, łatwość wchodzenia i wychodzenia, zajmowania miejsca itp.

Pierwsi z nałożonych zadań wywiązali się konstruktorzy austriackiej firmy samochodowej Steyer opracowując i przeznaczając do produkcji mały autobus o nazwie CITY-BUS.

Jego konstrukcja oparta jest na drabinowej ramie podwoziowej, wykonanej z kształtowników o zamkniętych przekrojach, do której zamocowane jest niezależne zawieszenie wszystkich czterech kół, oraz z przodu przymocowany jest silnik. Na ramie tej osadzone jest nadwozie o nowoczesnym i niekonwencjonalnym kształcie. Kabina kierowcy umieszczona jest z lewej strony pojazdu i z zewnątrz wygląda w ten sposób jakby była oddzielona od części osobowej. W rzeczywistości stanowi z nią jednolitą całość. Kierowca siedzi w niej dość wysoko, co zapewnia mu doskonałą widoczność w czasie jazdy. We wnętrzu nadwozia poza kierowcą mieści się 28 osób, z tym, że dla 14 przeznaczone są miejsca siedzące, a dla pozostałych 14 miejsca stojące. Wysokość wnętrza tego bądź co bądź małego autobusu jest imponująca i wynosi 2 metry, przy czym podłoga przebiega zaledwie 30 cm nad jezdnią i poza wnękami tylnymi kół jest absolutnie płaska. Dostęp do wnętrza umożliwiają szerokie drzwi, otwierane automatycznie i pozwalające na bardzo szybką wymianę pasażerów.

Samochód napędza wysokoprężny silnik pochodzący z samochodu osobowego MERCEDES BENZ 200 D – o mocy 55 KM, umieszczony w przybliżeniu w osi pojazdu, a po jego prawej stronie zlokalizowana jest chłodnica z dwoma wentylatorami napędzanymi silnikami elektrycznymi.

Zawieszenie autobusu CITY-BUS jest pneumatyczne i dzięki niemu istnieje możliwość samopoziomowania się pojazdu, co oznacza, że przy większym obciążeniu jednej ze stron utrzymywana jest stała wysokość.

Przeniesienie napędu na koła przednie odbywa się za pośrednictwem trójbiegowej, półautomatycznej skrzyni biegów, która przyczynia się do płynnego ruszania pojazdu z miejsca.

Dane wymiarowe STEYERA CITY-BUS są następujące: długość 5795 mm, wysokość 2500 mm, szerokość 2030 mm, rozstaw osi 3300 mm, ciężar 2400 kg.

Prędkość maksymalna samochodu wynosi 60 kilometrów na godzinę.

ZENON DUTKIEWICZ

FOTOGRAFIA PRZYRODNICZA (23)

PTAKI PRZED OBIEKTYWEM

Ptaki są i łatwe i trudne do fotografowania. Łatwe, gdyż są duże, kolorowe, pojawiające się w każdym miejscu, niekiedy nawet same pukają do okien. Trudne w fotografowaniu – bo kryjące się po dziuplach strzelistych drzew, zakładające gniazda w niedostępnych terenach bagien, szuwarów i skał. Niejednokrotnie potrzeba miesięcy, aby do ptaka udało się podejść blisko. Można sobie tę pracę zepsuć jednym nieostrożnym ruchem, niezależnym od nas zbyt głośnym spuszczeniem migawki. Zresztą o tym wszystkim napisze prowadzący Klub Ptakolubów – Tomasz Kłosowski, który się w tej fotografii wyspecjalizował.

Marek Ostrowski

Pierwsze zdjęcia przynoszą zazwyczaj gorzki zawód. Bo oto – zamiast efektownego wizerunku ptaka – otrzymujemy na klatce nikłą kropkę. A przecież – wydaje się – mieliśmy skrzydlatego modela tuż przed sobą. I wtedy najczęściej rodzi się pytanie

Jaki sprzęt?

Pytanie, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Bowiem to, jakich aparatów i obiektywów użyć, zależy ściśle od rodzaju zdjęcia i sytuacji, w jakiej spotkacie ptaka. Przedstawiamy zatem podstawowe możliwości.

Zdjęcia ptaków hodowanych, schwytanych w sieci przez ornitologów, rannych, słowem takich, które są w zasięgu ręki. Tu wystarczy aparat ze zwykłym, standardowym obiektywem, a bardzo przyda się komplet pierścieni pośrednich (portrety drobnych ptaków).

Do ptaków wielkości gołębia trzeba się zbliżyć na 5–7 m, do dużych drapieżnych, czapli itd. na 8–12 m. No, ale który z dzikich skrzydlatych dopuści obserwatora tak blisko i jeszcze wytrwa przed lufą obiektywu? Zatem...

Teleobiektyw to nie wszystko

Konieczne są jeszcze pewne wiadomości, a to przynajmniej dwie: w którym miejscu interesujący nas ptak pojawi się na pewno i jak podejść doń na małą odległość?

Pierwszą informację zdobywamy automatycznie, znajdując gniazdo zawierające jajka lub pisklęta. Tu Wasz model zjawi się z pewnością, zaś to, czy zechce zjawić się w Waszej obecności zależy od tego, jak poradzicie sobie z jego podchodzeniem.

W fotografowaniu z ukrycia powinny brać udział dwie osoby. Jedna kryje się z aparatem w szałasie, druga dość hałaśliwie opuszcza otoczenie gniazda, dając ptakom do zrozumienia, że wróg odszedł. Ponieważ nie potrafią one liczyć, nie odkrywają na ogół podstępu i wracają do gniazda, o ile ukryty fotograf nie zdradzi niebacznym ruchem swojej obecności. By tego uniknąć, trzeba zadbać o wygodne siedzenie w ukryciu oraz poręczne ustawienie sprzętu. Wizjer aparatu powinien znajdować się na wysokości oka fotografującego, by nie musiał on podczas przylotu ptaka zmieniać pozycji. Trzeba pamiętać, że ptaki mają dobry wzrok, a ruch spostrzegają wyjątkowo łatwo. Natomiast ich zmysł powonienia jest na tyle uwstecznio-ny, że nie są w stanie zwietrzyć człowieka nawet z odległości kilku kroków. Po skończeniu czatów o ustalonej z góry porze osoba odprowadzająca wraca i uwalnia fotografującego.

Budowa przenśnego szałasu do fotografowania gniazd nisko położonych

Podobny szałas niemal całkowicie ukończony

Błotniak łąkowy, jeden z nielicznych gatunków ptaków drapieżnych pozwalających fotografować się przy gnieździe

Bociany, ptaki znane wszystkim, dość łatwe do fotografowania, gdyż przyzwyczajone są do towarzystwa ludzi

Zdjęcia ptaków na wolności, przy gnieździe, przy wodopoju lub podczas polowania wymagają prawie zawsze teleobiektywów, a także budowania ukryć, o czym niżej.

Ptaki w locie. Tu również potrzebny teleobiektyw, chyba, że znajdziecie się np. w kolonii mew i ptaki będą krążyć tuż nad głową.

Zdjęcia przy karmniku można zrobić i bez teleobiektywu, zwłaszcza gdy karmnik jest umieszczony tuż za oknem.

Specjalnego sprzętu wymagają więc tylko sytuacje druga i trzecia. Tu potrzebny jest aparat lustrzanka jednoobiektywowa („Zenit", „Praktica" itp.) oraz teleobiektyw, najlepiej o ogniskowej 300 mm. Chcąc przy pomocy „trzysetki" uzyskać obraz ptaka wielkości wróbla na tyle duży, by zajmował znaczną część klatki filmowej, trzeba go fotografować z odległości 3–4 m.

W szałasie

Tylko nieliczne gatunki pozwalają fotografować się przy gnieździe bez krycia. W większości wypadków trzeba w miejscu obserwacji wybudować szałas, najlepiej o trwałej, przenośnej konstrukcji (patrz zdjęcie). Powinien on być zbudowany z materiałów stanowiących najbliższe otoczenie gniazda, wtopiony w tło i jak najmniej widoczny. W lasach i zaroślach buduje się szałas od razu w pobliżu gniazda, ale stopniowo, w ciągu kilku dni, zaś na terenach otwartych trzeba rozpocząć budowę z daleka od gniazda, po czym zbliżać się stopniowo wraz z całą konstrukcją, by po paru dniach znalazła się w pobliżu siedziby Waszego aktora. Można też niekiedy posłużyć się namiotem z płótna, ale tylko przy gniazdach gatunków mniej płochliwych. Musi być on bardzo starannie zamaskowany roślinnością.

Zaniedbanie którejkolwiek z wymienionych zasad prowadzi najczęściej do trwałego wypłoszenia ptaków z gniazda. Niebezpieczeństwo zaszkodzenia ptakom maleje jednak, jeżeli zamiast przy gnieździe fotografujemy skrzydlatych w innych miejscach i sytuacjach. Możliwości jest wiele. Szanse zdobycia ciekawych zdjęć zyskujecie ustawiając szałas w pobliżu wodopoju, czyli jakiejś sadzawki czy kałuży w lesie lub na polu. Warto też poszukać miejsc, gdzie ptaki stale żerują lub czatują na zdobycz, lub stadnie odpoczywają w okresie wędrówek. Często są to pobrzeża starych koryt rzecznych, a zwłaszcza spuszczone stawy rybne. Chcąc fotografować na tych ostatnich, należy uzyskać zgodę na wstęp i ustawienie szałasów od kierownictwa gospodarstwa rybnego. Istnieją też pewne szanse przywabienia ptaków w pobliże wcześniej przygotowanego ukrycia poprzez wyłożenie im żeru. Błotniakom i krukowatym wykłada się w porze lęgowej np. jaja z opuszczonego gniazda kaczki (ale nie z zajętego). Zimą krukowate i drapieżne chętnie przylatują do wykładanych im padłych zwierząt. Drobne śpiewaki powinna przyciągnąć ustawiona na kołku kukła sowy. Czasem udaje się pewne ptaki przywabić na niewielką odległość i sfotografować bez ukrycia. Dzięcioł pstry przylatuje, jeżeli umiejętnym stukaniem w pień naśladujemy jego stukanie, w podobny sposób można skłonić do zbliżenia się niektóre śpiewaki i sowy przy pomocy ich własnych głosów nagranych na taśmę.

Co wolno, a czego nie wolno?

Jak widać, fotografowanie ptaków wymaga niemal zawsze pewnej ingerencji w życie i otaczające środowisko. Chodzi o to, by nie stała się ona niebezpieczna dla przyrody. Zwłaszcza fotografowanie przy gnieździe nakłada na obserwatora dużą odpowiedzialność, grozi bowiem zniszczeniem lęgu. Istnieje tu szereg przeciwwskazań, do których trzeba się stosować w interesie swoim i aktorów. Zatem nie należy:

- podkradać się do wysiadującego ptaka,
- wprowadzać zmian przy gnieździe i w pobliżu, a zwłaszcza wpuszczać doń światła słonecznego przez wycięcie gałęzi. Szkodzi to pisklętom, a zdjęciu niewiele pomaga. Niektóre ptaki śpiewające można z powodzeniem fotografować w błysku flesza,
- wyciągać z gniazda piskląt dla ich sfotografowania,
- przychodzić w okolice gniazda zbyt często,
- ustawiać szałasów obok gniazd położonych na otwartych przestrzeniach i w pobliżu siedzib ludzkich. Ściąga to ciekawskich i zwykle prowadzi do zagłady lęgu.

W wielu krajach na sfotografowanie rzadkich gatunków trzeba mieć zezwolenie odpowiednich władz. U nas brak odrębnych przepisów na ten temat, niemniej niepokojenie w okresie lęgowym gatunków ginących (orłów, sokołów, puchaczy, głuszców, dropi itp.) jest traktowane jako wykroczenie przeciw ochronie gatunkowej zwierząt. I tu właśnie nasuwa się...

Kilka refleksji końcowych

Fotografię przyrodniczą porównuje się często do łowiectwa, ale chyba częściej jest ona zbieractwem. Fotograf-kolekcjoner mniej dba o sam wygląd zdjęcia i treści, jakie mogłoby ono przekazać. Raczej pragnie chwytać na taśmę coraz nowe, w miarę rzadkie gatunki. Przyrodzie nie zawsze wychodzi to na dobre.

Otóż warto zdać sobie sprawę, że gdy idzie o ptaki – wszystkie gatunki, przynajmniej w Europie, zostały już sfotografowane. A już zwłaszcza zdjęcia tych rzadkich i najbardziej efektownych można dziś zobaczyć dosłownie wszędzie – od dzieł naukowych po ścienne kalendarze. Co i jak zatem fotografować, gdy chce się w tej dziedzinie tworzyć, a nie tylko powielać?

Wydaje się, że największą przyszłość mają przed sobą zdjęcia ukazujące procesy, a nie tylko gatunki. Szczególnie ważnym, a niedocenianym tematem jest obecność zwierząt w krajobrazie kulturowym, zmienionym przez cywilizację. Ten, kto sfotografuje mewę porywającą pokarm z parapetu, bociana stojącego na gnieździe na tle nowo budowanych bloków, czy pleszkę niosącą zdobycz do gniazda ukrytego w skrzynce pocztowej, zrobi więcej dobrego, niż ten, który płoszy ginące orły bieliki w ich ostatnich ostojach. Zanim więc wyruszycie na wiosenne bezkrwawe łowy, rozejrzyjcie się uważnie po najbliższym otoczeniu.

TOMASZ KŁOSOWSKI

Fot. **autora**

Czy można powiedzieć o roślinie, że jest „w stanie spoczynku"? Mówi się „generał w stanie spoczynku", a to znaczy, że generał jest już na emeryturze, rencie, że już nie pracuje w wojsku. A oto zdanie, które budzi pewne wątpliwości, a przepisuję je z podręcznika do przyrody dla klasy V (str. 85)

Zapamiętaj: nasienie – to młoda roślina w stanie spoczynku, zaopatrzona w materiały zapasowe i otoczona ochronną łupiną.

Drugie moje pytanie dotyczy daktyla. Mówi się „dam ci daktyl" czy „dam ci daktyla"?

Lucyna z Olszanicy

1) Chociaż nie ma żadnego podobieństwa między nasieniem i generałem, o jednym i drugim można powiedzieć, że jest w stanie spoczynku. Nawet popularny „Mały słownik języka polskiego" odnotowuje, że w terminologii botaniczno-biologicznej stan spoczynku to **„u roślin: przerwa w wegetacji"**. 2) **Daktyl** jest rzecz. nieżywotnym, powinien więc mieć biernik równy mianownikowi (dam ci daktyl) – bo taka jest przecież ogólna zasada. Rzecz w tym, że od tej zasady są pewne odstępstwa. Dotyczą one nazw monet, owoców, grzybów, napojów i innych produktów żywnościowych; rzeczowniki z tej grupy mogą mieć biernik z końcówką -a albo w ogóle bez końcówki. I dlatego możesz powiedzieć „dam ci **daktyla**" lub „dam ci **daktyl**"; jem **banana, melona** czy **arbuza,** lub jem **banan, arbuz, melon;** znalazłam **grzyba,** lub znalazłam **grzyb;** wypiłem **szampana,** lub **szampan;** kupić **chleba,** lub **chleb.**

Już od dawna zadręczam się pytaniem, na które nikt mi nie może odpowiedzieć. Dotyczy ono słynnej grupy muzycznej z Jamajki. Ja twierdzę, że pisze się BONNEY M., zaś koleżanki BONNY M. Proszę, rozsądź spór!

Lachti

Specjalistką od zespołów muzycznych nie jestem, skontaktowałam się więc z kolegą, który w tygodniku „Na przełaj" prowadzi Muzykoramę. Po tej konsultacji mogę odpowiedzieć, że nazwę zespołu piszemy: BONNEY M., a wymawiamy *bony em*. Wasz spór powstał być może dlatego, że widziałyście reprodukowany w naszej prasie holenderski plakat, gdzie nazwa zespołu została napisana błędnie, acz zgodnie z wymową.

-Wasza KROPKA

Autorką mego portretu w roli piłkarza jest Marzena Kostrzewska.

Redaguje
Włodzimierz Lewiński

Cześć!

„GEO–RYMY!" Piotrek Nowacki zajmuje się układaniem „geo-rymów" czyli rymów geograficznych. Oto próbka jego twórczości:

Czuję się dziko w Puerto Rico.
Bójka na noże w Salwadorze.
Nabawiłem się kontuzji w Gruzji.
Małe nieporozumienie w Ogadenie.
Chodzę w kaloszach po Karkonoszach.
Strzelam ze śrutu koło Bejrutu.
Jadę w karecie po Krecie.
Pływam w kutrze po Brahmaputrze.
Mam wrażeń sporo z Sapporo.
Galopuję na ogierze po Algierze.
Chodzę w negliżu po Paryżu.
Kąpię się w wannie na sawannie.
Rejs w nocniku po Pacyfiku.
W balii wokół Australii.
Granda po grandzie w Ugandzie.
Nago po Chicago.
W jednym bucie w Kalkucie.

Piotrek przysłał mi 100 znakomitych „geo-rymów". Cała redakcja ślęczy dziś nad atlasami geograficznymi. Wszyscy układają „geo-rymy"!

***

Nareszcie!!! Są! Mika obdarzyła nas trójką kociaków. Śliczne! Dwa białe w szare łaty, a jeden pręgowany, bury. Mika jest bardzo troskliwą mamą. Nie chce zejść z legowiska, nawet na jedzenie. Musiałam postawić jej miskę na specjalnym podwyższeniu, żeby mogła jeść nie odchodząc od kociąt...

To był fragment listu Ewy Pałki z Gdańska. Pozdrawiam Cię, Ewo!

***

ŚCIŚLE TAJNE!

Kochana Magdo (z Katowic)! Napisał do mnie „Zrozpaczony Krzysztof". Zerwał z Tobą, bo uwierzył w plotki rozpuszczane przez „kolegów". Początkowo chciał zrobić Ci na złość (Barbara), ale to nie zdało się na nic. Teraz Krzysztof jest sam i marzy o tym, żeby wszystko było jak dawniej. Co Ty na to?...

(Rzepinka przeczytała list Krzyśka i powiedziała przez łzy, że ona by mu przebaczyła.)

***

Justyna Frank proponuje, żebyście powiedzieli głośno i szybko:

1) **CY TATA CYTA CYTATY TACYTA**
2) **TRZY CYTRZYSTKI**

Do zobaczenia! **Wasz RZEP**

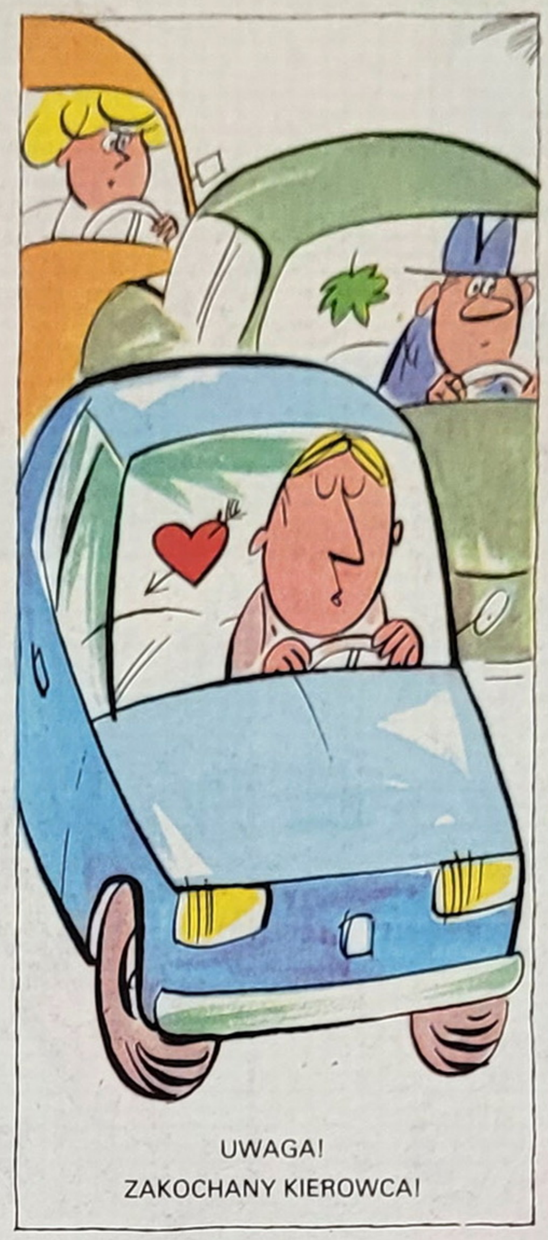

UWAGA!
ZAKOCHANY KIEROWCA!

NOWY POMYSŁ KRASNOLUDKA

Oto znaczek, który należy wyciąć starannie, nakleić na tekturkę, przymocować na odwrocie agrafką i nosić, jeśli się jest z a k o c h a n y m.

Wiadomo przecież, że zakochani są roztargnieni, zapominalscy, spóźnialscy i trochę nieprzytomni. Być może, nasz znaczek przypięty do fartucha zmiękczy nieco serca profesorów i sprawi, że nie będą dla nas zbyt surowi...

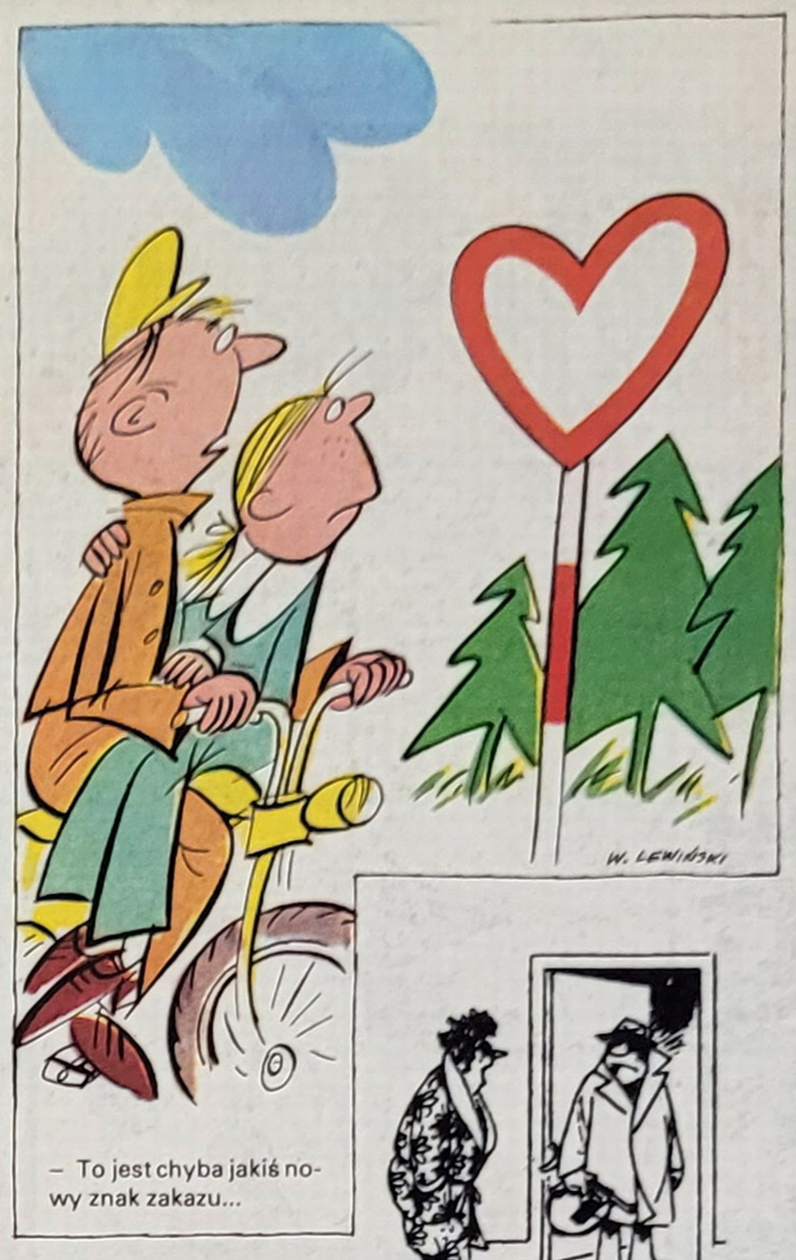

– To jest chyba jakiś nowy znak zakazu...

RZEPKLUB

Wpisują na klubową listę Adama Warzechę. Oto żart rysunkowy z jego kolekcji:

„OSTEN"

– Jak będziesz wracał z banku, kup po drodze trochę świeżych bułek...

REWIA MODY

Prezentuję „model dla dziewcząt" na nadchodzący sezon letni. Autorką projektu jest Monika Machlejd, którą przyjmuję do Rzepklubu!

1) Warkoczyki usztywnione miedzianym drutem.
2) Powiększone uszy (konieczny zabieg kosmetyczny)
3) Kolczyki z żarówek.
4) Tarcza.
5) Bluzka z klosza od lampy stojącej.
6) Pomalowany brzuch (farby plakatowe).
7) Kieszenie na łańcuchach.
8) Spodnie z żelaznych obręczy.
9) Buty – stare opony z malucha.

nik podjął się remontu. Postanowiłem swój letni urlop poświęcić na rejs tym samym co i wy szlakiem, i spróbować odszukać miejsce, gdzie żyje lub żył autor wiersza.

– A my latem jedziemy do Jugosławii – odezwała się Lusia. – Będziemy leżeć na plaży, opalać się, nudzić. Inni zaś będą szukać autora pięknego wiersza.

– Ach, Lusiu – przerwała jej matka. – Ty znowu jesteś na „nie". Już ci się nie podoba projekt wyjazdu do Jugosławii? Ojcu należy się wypoczynek.

Dziewczyna zerwała się z fotela.

– Wy naprawdę niczego nie rozumiecie! – krzyknęła histerycznie. – Czy nie zdajecie sobie sprawy, że mnie takie życie jak wasze zupełnie nie odpowiada? Czy nie rozumiecie, że i poezja jest człowiekowi potrzebna? Że każdy chce mieć w życiu coś pięknego, własnego, co się nie da obliczyć przez komputery w departamencie dyrektora Dołęgowskiego? Nigdy nie widziałam ojca, żeby czytał wiersz, a tylko sprawozdania pełne cyfr. Ty, mamo, jesteś taka sama.

I dziewczyna wybiegła z gabinetu.

Dyrektor Dołęgowski chrząknął z zażenowaniem.

– To bardzo trudne dziecko – wyjaśnił jej zachowanie.

Doszedłem do wniosku, że najlepiej uczynię nie wtrącając się w niczyje osobiste sprawy.

– Szkoda, że pan nie pamięta szczegółów tamtego rejsu – stwierdziłem, szykując się do odejścia. – Powiedział mi pan, że być może dziennik prowadziła Joanna Ziębicka, która prawdopodobnie pracuje w jakimś banku. Tylko, że może w międzyczasie wyszła za mąż i nosi inne nazwisko. Wątpię, czy uda mi się ją odnaleźć.

– Ale wiem, gdzie pracuje Jan Śliwowski, który był wtedy pierwszym oficerem. Nie skończył uniwerku, rozpił się. Spotykam go niekiedy. Pracuje na stacji benzynowej na szosie E-81. Taka duża stacja. Może on będzie pamiętał naszą wizytę u ludowego poety – pocieszył mnie dyrektor Dołęgowski.

Uradowała mnie ta wiadomość. Mocno uścisnąłem mu rękę. A on, jak gdyby ogarnięty nagłą do mnie sympatią, odprowadził mnie aż do drzwi wyjściowych.

– Proszę o telefon. Jestem ciekawy, jak skończyła się ta historia – rzekł do mnie już w otwartych drzwiach. – To pięknie, że są ludzie, których interesują podobne sprawy.

Zbiegłem po schodach i szybkim krokiem pomaszerowałem do najbliższego przystanku autobusowego. Ale ktoś okazał się szybszy ode mnie. Nie bacząc na kałuże pełne topniejącego śniegu, dogoniła mnie Lusia. Była w białym kożuszku, który, gdy za mną biegła, pokrywał się natychmiast czarnymi plamami błota. Lecz ona na to nie zważała.

– Proszę pana? Proszę pana! – zawołała. – Czy może mi pan podać swój telefon i adres? Muszę się z panem spotkać i porozmawiać. Od dawna noszę się z zamiarem letniej ucieczki z domu. Zamiast jechać do Jugosławii, popłynę z panem na poszukiwanie poety! Zgoda? Weźmie mnie pan z sobą?

Milczałem, zaskoczony jej słowami.

– Dlaczego pan nic nie mówi? – niecierpliwiła się dziewczyna. – Boi się pan wziąć tę sprawę na siebie? Ale ja i tak ucieknę z domu. Już to robiłam. Choćby w ubiegłym roku, latem. Rodzice szukali mnie przez dwa tygodnie i wreszcie w Zakopanem trafili na mój ślad przez milicję.

– Dobrze – zgodziłem się nieoczekiwanie.

Wyciągnąłem z kieszeni notes i zapisałem jej swoje nazwisko, adres i telefon.

– Jest pan cudowny! – stwierdziła. – Może spędzę najpiękniejsze wakacje w swoim życiu! Wkrótce zadzwonię do pana i spotkamy się. Wtedy też przepiszę dla siebie „Złotą rękawicę".

Uśmiechnąłem się. Podałem jej rękę i stojąc na ulicy, opryskiwany przez przejeżdżające mimo mnie samochody, długą chwilę patrzyłem za oddalającą się chodnikiem dziewczyną w białym kożuszku.

* * *

Półtora dnia tkwiliśmy w zatoczce, która dała nam schronienie podczas gradowej burzy. „Wicher" z Bajeczką pod pokładem odpłynął zaraz rankiem pierwszego dnia i pozostaliśmy w tym miejscu sami, ale wiele jachtów i łodzi motorowych ciągnęło mimo nas w stronę Siemian i z powrotem, pogoda bowiem zrobiła się bardzo piękna. Kika, Psycholog i ja wyruszyliśmy na mozolną wędrówkę po okolicznych wioskach, aby wypytywać o interesującego nas człowieka, a na jachcie jako strażnika pozostawiliśmy Panią Księżyc, która korzystając ze słońca postanowiła opalać się na dachu kabiny.

Cdn.

PRZYGODY LEOKADII

SPORTOWE ŻYCIE LEOKADII

W.K. Wij
Rys. Ewa Przyjemska

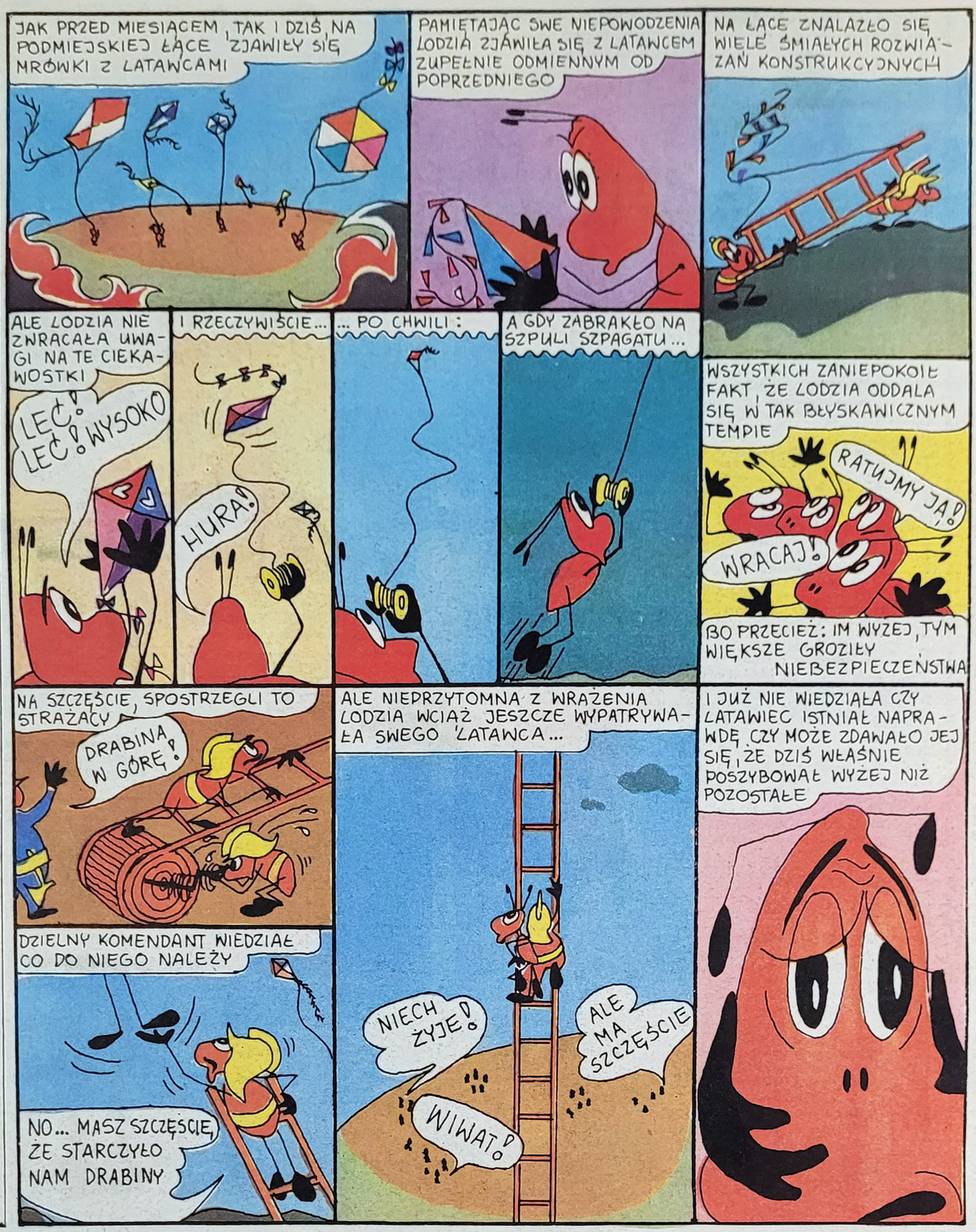

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Mieczysław Teodorczyk

Redakcja techniczna
Małgorzata Kula

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Nr zam. 2635/G S-7

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ 00-561 POCZTOWY

Uśmiechnąłem się bezradnie. Bo jak wytłumaczyć tę sprawę. Powiedziałem tylko:

– Chciałbym go poznać dlatego, że napisał piękny wiersz.

Dołęgowski zamrugał powiekami, tak go zaskoczyły moje słowa. I tylko z drugiego fotela odezwała się nieoczekiwanie Lusia:

– A może pan nam przeczyta ten wiersz? On jest zapisany w tej książce, prawda?

Otworzyłem dziennik jachtowy „Szkwała" i zadeklamowałem, jak mogłem najlepiej:

„Jezioro moje w gładkiej toni
widziałem kiedyś dziecka twarz.
Jakiż to wiatr te fale gonił,
co odebrały oczom blask?
Jezioro moje, z twojej toni
już nie wyciągnę sieci znów,
zabrakło siły w starczej dłoni.
I wiary brak, nadziei, słów.
Jezioro moje, twojej toni
obcym imieniem mówi czas,
na mojej pieśni łańcuch dzwoni
niewoli, usta ciśnie głaz.
Jezioro moje, w twoje tonie
z ojczystych słów oddaje śpiew.
Jak kamień krzywdy wiersz zatonie.
Czy kiedyś zabrzmi jękiem mew?

Ojczyzno moja, ponad tonią
żurawi zwątpień krzyk jesieni
Do starych gniazd dostępu bronią
trzcin szable. Aż się los odmieni.
I znowu polski rycerz dumnie
podejmie złotą rękawicę.
Widziałem ją w blaszanej trumnie
gdzie wróg rozbitą miał przyłbicę.
I wy wrócicie tu łabędziem
w łopocie żagli białych skrzydeł,
mój grób z brzozowym krzyżem będzie
jak z grottgerowych malowideł.
Zarzućcie w tonie nocne sieci
po pieśni sen ukryty w fali.
A jeśli grobu nie znajdziecie
zechciejcie chociaż wiersz ocalić.

1941 r.

Skończyłem czytać i długą chwilę w gabinecie pana Dołęgowskiego trwała pełna napięcia cisza.

– To bardzo piękny wiersz – szepnęła wreszcie Lusia.

– Tak – przyznałem. – Urzekł mnie. Nazwałem go „Złotą rękawicą". Wydaje mi się, że pisał go człowiek bardzo utalentowany, ale tego wiersza nie znalazłem w żadnym zbiorku poezji ludowej Mazur. Postanowiłem ustalić nazwisko autora, spotkać go. A jeśli w międzyczasie umarł, to zgodnie z jego prośbą ocalić ten wiersz od zapomnienia, wydrukować z imieniem i nazwiskiem. Jest to jeszcze jeden dowód, jak bardzo te ziemie związane były z Polską i przeniknięte duchem naszego języka, naszej poezji.

Dyrektor Dołęgowski chrząknął z zakłopotaniem:

– To bardzo piękny zamiar. Ale chyba nie będę mógł panu pomóc. Nigdy nie interesowałem się poezją.

– Mówiłem panu, że kupiłem wrak „Szkwała". Znajomy szkut-

Dokończenie na str. 7